

Treść nr. 41-go.

Do Czytelników.

Społeczeństwo polskie w zaborze pruskim przechodzi w chwili obecnej okres przełomowy, — jeden z najważniejszych i najdonioślejszych, jakie bodaj kiedykolwiek przebywało, odkąd się znalazło pod rządem pruskim. Cechą tego okresu przełomowego jest: *skupianie wszystkich sił naszych w obrębie państwa niemieckiego w jedną całość*; a dalej: *wewnętrzne organizowanie się* — i to nietylko na politycznem ale i na zarobkowem polu.

Kto śledził rozwój naszego życia publicznego przez ciąg ostatnich lat kilku, ten umie stwierdzić i należycie ocenić doniosłość faktów takich, jak: niezmierne zainteresowanie się wszystkich warstw społecznych ruchem narodowym na Górnym Śląsku: wyborami; organizacyą rozproszonego po całych Niemczech polskiego wychodźtwa; stanowiskiem naszych Kół poselskich wobec kraju i wobec rządu.

Dla bacznego obserwatora wszystkie te otóż sprawy bieżące, które poruszały umysłami w ciągu ostatnich lat paru — nie są kwestyami oderwanemi, nawzajem od siebie niezależnemi, lecz przeciwnie wszystkie one pochodzą ze wspólnego źródła, będąc zupełnie współrzędnymi przejawami jednego i tego samego zasadniczego dążenia w naszem społeczeństwie, — wszystkie one składają się na jeden harmonijny obraz, a tym jest — dążenie wszystkich Polaków, ile nas jest do wytworzenia w obrębie Niemiec jednej, pod względem politycznym skupionej i zwartej masy, walczącej ramię przy ramieniu zapomocą wszelkich środków prawnych o zdobycie praw, należnych naszej narodowości.

„Jakto?" zapyta może niejeden „czyliż społeczeństwo nasze dotychczas nie było jednolite?"

Nie wahamy się na to odpowiedzieć, że Polacy w obrębie Prus nietylko nie stanowili, ale i teraz jeszcze nie stanowią, jednolitego społeczeństwa jakkolwiek są na najlepszej drodze potemu.

Jeszcze niezbyt to dawne są te czasy, gdy w Księstwie mówiono: A co nas Śląsk obchodzi? każd... prowincya niech dba o swoje inte... resy jak umie najlepiej, na inne si... nie oglądając! I tak oto się stało, że długie lata byliśmy sobie nawza... jem sąsiadami, zamiast być *bra... mi.*

Przypomnijmy sobie tylko ow... osławioną mowę posła dr. Jaździew... skiego z przed dwóch lat, skierowa... ną przeciw narodowemu rozbudze... niu Śląska! Śmiało dziś każdy z rę... ką na sercu zapewnić może, że prz... obecnym kierunku umysłów ani te... raz, ani już wogóle nigdy w przy... szłości wygłoszenie zapatrywań po... dobnie zaślepionego prowincyona... lizmu stało się niemożliwe.

Dlaczego? Czy w przeciąg... tych lat paru tak szybko się zmieni... ły warunki polityczne? Bynaj... mniej. Nie tyle warunki się zmie... niły, ile raczej w sercu i w głowi... społeczeństwa polskiego wyklaro... wał się inny, szerszy pogląd na pod... stawowe zadania naszej polityki, — inne zrozumienie ducha czasu głębsze odczucie tych szlachetnych

odruchów serca, które doprowadziły do nawiązania pierwszych nici pomiędzy poszczególnemi terytoryalnemi cząstkami zaboru pruskiego, i doprowadzą do zupełnego ich zespolenia. Słowa: „społeczeństwo nasze“ przestają już oznaczać Wielkopolan: ogarniać bowiem poczynają już szersze horyzonty; — myśl przewodnia narodowa wyłania się z ciasnych zaściankowych pojęć, zrzuca z siebie skorupę zaśniedziałego prowincyonalizmu, serce polskie poczyna czuć *szerzej i — szczerzej* po polsku.

Utworzenie centralnego Komitetu Wyborczego, które dziś wolno już uważać za fakt dokonany, jest niejako symbolem tej dążności do skupienia sił, opasując jednym pierścieniem Księstwo, Prusy, Śląsk i Wychodźtwo, tworząc z nich pod względem politycznym jedno nierozerwalne ciało, jedno społeczeństwo!

I oto rzec można, gładko leży teraz przed nami otwarta droga dalszego rozwoju. Po przebyciu wielu wewnętrznych walk i burz, społeczeństwo zdobyło sobie nareszcie znajomość celu; wie po co dąży i którędy: *celem* jest skupianie sił pod hasłem jednolitości politycznej, *środkiem* — organizacya wewnętrzna, *wyrazem* — wspólność w działaniu. Z tego okresu przełomowego społeczeństwo nasze wyjdzie wzmocnione, jednolite, zorganizowane.

A jeśli to się tak stanie, to zasługa tego w niemałej części przypadnie naszym *gazetom.* One to bowiem zawsze, niezmordowanie, nieustannie wysuwały wciąż tę myśl, to hasło zespolenia całego zaboru pruskiego, które dziś w czyn się wciela.

Nasze pismo, nasza „Praca“ nie była ostatnią w tym szeregu pism polskich, które reprezentowały tę myśl przewodnią. Nasi czytelnicy, zwłaszcza ci dawniejsi, pamiętają dobrze, jakie to ataki sypały się na „Pracę“ zewsząd, od obcych i od swoich, w owych czasach, gdy mówienie o wyborach górnośląskich z góry nazywano niebezpieczną ułudą i wprost warchołstwem politycznem. Również i zajmowanie się sprawą wychodźtwa należy do tradycyi naszego pisma.

Staliśmy niezachwianie przy tym naszym programie z wiarą, że dobra sprawa zwyciężyć musi, — że dobra myśl, co kiełkowała, rozrosnąć się bujnie powinna. Spełnialiśmy według sił nasz obowiązek, czuwając wraz z innymi nad tem, aby *poznańskie chwasty* nie zagłuszyły tej *płonki polskiej.*

Jeśli jednak spoglądać może polska prasa po za siebie na okres upływający z poczuciem spełnionego obowiązku, to wyznać przecież należy, że rezultaty byłyby jeszcze lepsze, gdyby *wszyscy* czytelnicy pism polskich w większej mierze niż dotychczas poczuwali się do obowiązku zjednywania nowych abonentów. Zbyt wiele jest jeszcze niestety domów polskich, gdzie gazeta polska uważana jest wciąż za zbytek, a nie za chleb powszedni dla ducha. A przecie kto w dzisiajszych czasach, tak doniosłych dla przyszłości naszego społeczeństwa, nie utrzymuje łączności z całością swego społeczeństwa, za pomocą gazety, ten użytecznym członkiem narodu być nie może i sam składa o sobie świadectwo obojętności. *Nie na takich jednostkach opiera się gmach budowy społecznej.*

To przypomnienie — z okazyi zmiany kwartału.

Redakcya.

Skargi na lud.

Dzięki licznym naszym literatom idealizującym i apoteozującym chłopa, zakradła się w ogół polski chłopomania, która jak wszelka mania przyczyniła się do zaćmienia pojęć. W naszem prozaicznem i nieskłonnem do egzaltacyi Księstwie nie spotykaliśmy się z objawami ślepej chłopomanii. Na pochwałę naszą możemy powiedzieć, że zamiast bezproduktownego malowania chłopa w barwach różowych zdawaliśmy sobie sprawę, jak arcyważnym jest on czynnikiem w naszem społeczeństwie i w tem przekonaniu znaleźli podnietę do pracy nad ludem. W innych przeto dzielnicach potrzeba trochę zimnej wody, u nas zaś krytycznych poglądów na stan duchowy i kulturalny naszego ludu, z których wyłaniała-by się praktyczna wskazówka do dalszej działalności na tej niwie.

Z tego przekonania wychodząc w pierwszych miesiącach bieżącego roku, poruszyliśmy na łamach „Pracy“ sprawę oświaty ludu. Szkoda, że pisma nasze chodzą

Z teatru.

„Ahaswer“ i „Odrodzenie“ — w tych dwóch tytułach streścić można dorobek naszego teatru w ubiegłym tygodniu. Oprócz tych dwóch rzeczy widzieliśmy na scenie sztuki już w bieżącym sezonie dawane z wyjątkiem sobiej premiery, która nie nadaje się omówienie krytyczne.

Repertuar w małej tylko mierze zależy od dyrekcyi. Z materyalnych i moralnych względów liczyć się ona musi z upodobaniami i kulturą publiczności; z konieczności zaś liczy się ona ze stanem twórczości dramatycznej naszej i obcej.

Z tych to powodów nie słusznem było robić zarzut z wystawienia „Nerwowych“ Wiktoryna Sardon i Teodora Barriere. Możnaby chyba nadmienić, że dzień dla tej sztuki nie był szczęśliwie obrany.

Sobota bowiem, ów niestety jedyny wieczór tygodnia, który jakolwiek zapełnia loże i krzesła lepszą publicznością, wymaga też rzeczy bardziej wartościowych jak nieudolna farsa spółki literackiej Sardou i Barriere.

Z tem większem zato zdziwieniem wypada mi skonstatować, że wieczory zapowiadające bardzo wiele wrażeń prawdziwie artystycznych nie są w stanie zachęcić odpowiedniej liczby publiczności.

„Ahaswer“ nie jest utworem powszednim. Zapolska czerpie swe tematy z podobnych środowisk życia, co Stanisław Przybyszewski. — Koła zdenerwowanych dekadentow, ów cały świat artystyczny wielkich miast, oto tło — oto życie, z którego bierze postacie.

W świecie owym cała filozofia życia skrystalizowała się około jednej kwestyi, kwestyi płciowej. Ludzie tych kół żyją jakby tylko tą jedną ideą, w niej jedynie szukając ugaszenia swych pragnień i krótko trwałego szczęścia, dla którego poświęca się takie drobnostki jak sumienie. „Są uczucia, — mówi Mlicki w Przybyszewskiego „Dla szczęścia“ — wobec których obowiązki i tym podobne rzeczy są czczym frazesem.“ Na tle takiej teoryi przedstawia nam się postać Karola w Ahaswerze.

Dotąd w kwestyach seksualnych zabierał głos wyłącznie mężczyzna według twierdzenia „mulier taceat“. W Ahaswerze wypowiada się kobieta. Podczas kiedy Przybyszewski wszystko zło przypisuje kobiecie nazywając ją „zbrodniarką urodzoną“ a miłość stryczkiem, „na którym szatan dusze męskie do piekła wlecze“, to w Ahaswerze mamy jakby odpowiedź na po-

[b]ywykle samopas tak, iż jedna gazeta nie chętnie podejmuje kwestyę wytoczoną przez inną, jakby uważała to sobie za ujmę i nie miała przedewszystkiem na oku dobra społecznego. Wskutek tego dyskusya zacieśnia się, nie przybiera dość szerokich rozmiarów, by stanąć przed ogółem dostatecznie wszechstronnie oświetloną i wydać pozytywny owoc.

Obecnie w „Dzien. Pozn.“ dzieli się z swemi zapatrywaniami na charakter ludu Silesius, który, jak wiadomo, naszym czytelnikom, dość pesymistyczne żywi zapatrywania. Występuje z szeregiem poważnych zarzutów przeciwko ludowi, zwala na jego barki winę za niekorzystne stosunki robotnicze a nawet za ruinę wielu majątków.

Niezawodnie lud nasz jako materyał roboczy ma swe braki, bo któż jest bez wad, lecz mimo to nie musi on być tak złym, jeżeli Niemcy ubiegają się o polskiego robotnika i mają dla niego zwykle słowa pochwały. W porównaniu więc z niemieckim robotnikiem jest chyba dobrym materyałem dla rolnika. Wyznajemy, że skargi pod tym względem nie przemawiają do nas, bo przypomina się przysłowie „jaki pan taki kram“ i znamy kilku pierwszorzędnych gospodarzy, którzy potrafili rozwiązać w praktyce tę kwestyą ku zobopólnemu zadowoleniu. Nie wiedząc jak postępować z ludem grzeszyli nasi rolnicy srodze, jeżeli zaś pod tym względem stosunki się naprawiły i robotnik wiejski lepiej jest traktowanym to— prawdę mówiąc — nie ich jest zasługą. Jedynie bowiem pod presyą konieczności poczęli rozumieć, że czasy niegodnego obchodzenia się z chłopem, deptania w nim godności człowieczej minęły bezpowrotnie.

Nasz stan ziemiański nie umiał postępować z ludem tak jak nie umie jeszcze dziś w Królestwie, gdzie pomiędzy panem a pracobiorcą panują nieufność, niechęć i zawiść ku zadowoleniu trzeciej strony t. j. żyda.

Skargi na lud jako materyał roboczy wypływają zwykle z tego, że widzimy rzeczy w promieniu swych własnych, kastowych interesów zamiast stanąć na objektywnem stanowisku z którego moglibyśmy uwzględnić dobro obu stron. W tym razie Silesius musiałby przyznać że jeżeli w nowych warunkach bytu ucierpiał pracodawca—zyskał pracobiorca i dzieje się mu lepiej.

Bądź co bądź niepodobno iść tak daleko, by wine za wysuwanie się ziemi z rąk naszych przypisywać głównie chłopu. Według naszego zapatrywania główna przyczyna upadku naszej większej własności tkwi całkiem gdzieindziej a mianowicie w dość naturalnej nieumiejętności przystosowania się do warunków, wytworzonych przez naród rdzennie nam obcy a kulturalnie posunięty dalej. Zresztą w nowszych czasach zanik większej własności na korzyść mniejszej jest w całych Niemczech i gdzieindziej zjawiskiem powszechnem, przy którem płaca i robotnik nie grały roli dominującej. W tym zaś procesie, którego jesteśmy świadkami, chłop nasz arcy zaszczytnie się przedstawia, nie tylko bowiem nie trwoni ziemi lecz wydziera ją z rąk Niemców, tak iż można powiedzieć, że naprawia dawne błędy warstw wyższych.

Dalej wytacza Silesius przeciw ludowi zarzut, iż utworzył sobie własną religią przystosowaną do swych potrzeb, że — przypomina tłuszczę krzyżującą Chrystusa. Mimo to Silesius podnosi, że przywiązuje się do tradycyi kościoła i dlatego gotów kościoła i księdza bronić z nożem w ręku.

Gdyby autor zechciał poddać analizie wiarę i przywiązanie do kościoła *innych* warstw, przyszedłby z pewnością do równie smutnych zapatrywań i przekonał się jak bardzo niewielu ludzi z inteligencyi ba! nawet z pomiędzy bigotów przywiązanie swe do kościoła czerpie „ze zrozumienia wiary i z miłości ku Zbawicielowi“. Zarzutu czynionego przez Silesiusa nie można ograniczać na lud lecz trzeba-by go rozciągnąć na wszystkich. Ściśle biorąc każdy chrześcianin „wytwarza sobie własną religią“ na tle nauki Kościoła.

Przywiązanie naszego ludu do kościoła uważamy za wprost bezprzykładne, mając rozliczne a wymowne tego dowody w kraju zarówno jak na Ślązku i na obczyźnie, gdzie kler obcoplemienny wystawia religijność ludu codzień na ogniowe próby. Mamy to przekonanie, że nadużywanie ambony i konfesyonału, proklamowanie bojkotu oraz wszelkie inne wybryki stronniczości i hakatyzmu zraziły-by dawno parafian innej krwi do kościoła zupełnie, zrobiły-by z nich odszczepieńców a tymczasem lud polski toczy niezmordowanie bój i stoi

---

przednie wywody. Zapolska przedstawia w równie niekorzystnych barwach mężczyznę jako sprawcę wszelkiego nieszczęścia kobiety. Karol to ów Ahaswer, który rządząc się najskrajniejszym egoizmem, szuka tylko zadowolenia brutalnych swoich popędów. Najświętsze słowa w jego ustach są — bluźnierstwem, najuroczystsze przysięgi — kłamstwem.

Jego pochód przez życie znaczy się ofiarami zdradzonych, porzuconych nikczemnie kobiet. Do walki skutecznej z mężczyzną — a tylko walką jest stosunek mężczyzny do kobiety wedle pojęcia autorki — do walki tej niedorosła jeszcze przeciętna kobieta. Tylko kobieta tego rodzaju co Julka może mężczyźnie stawić czoło. Kobieta, która nietylko umysłem i wykształceniem dorównała mężczyźnie, ale przedewszystkiem tem silna, że uczucie potrafiła na drugi plan zepchnąć i rozumem jedynie się rządzi.

Rola tej „nadkobiety“ spoczywała w zdolnych rękach p. Orwid, która dała znakomitą kreacyę. [illegible] wytwornej gry, przy wielkiej dbałości o realizm szczegółów nawet w wymowie nie często ma się sposobność widzieć.

P. Prochaska bardzo dobrze dotrzymywał p. Orwid kroku, grając z tą prawdziwą dbałością artystyczną, która mu w ostatnich czasach stale towarzyszy.

W roli Elki poznaliśmy nową bardzo dobrą siłę p. Słowińską, która zadanie swe spełniła bez zarzutu.

Świetnem dopełnieniem tego wieczoru był wspaniały śpiew p. Dienheim-Brochockiej. Pięć odśpiewanych numerów wywołały huczne oklaski publiczności wdzięcznej za tę tak rzadką u nas artystyczną strawę.

Następny wieczór dał nam „Odrodzenie“ komedye Fr. Schönthana i Fr. Koppel-Ellfelda w tłomaczeniu Zofii [illegible]jcickiej.

„Odrodzenie“ nie jest rzeczą pierwszorzędnej wartości. Obu autorów słusznie oskarza krytyka o rozbój i kradzież na wszystkich traktach literackiej działalności. A mimo to wszystko „Odrodzenie“ zawsze będzie sztuką, która „idzie“, która potrafi ściągnąć obfite grono widzów. Piękna wystawa, ładny język i układ trzymający w stałem napięciu uwagę, oto warunki, które się składają na fakt, że „Odrodzenie“ jest sztuką bardzo lubioną. Gdy do tych zalet dochodzi jeszcze dobra gra artystów wówczas mało kto pyta o uczoną krytykę. A warto widzieć „Odrodzenie“ choćby dla samej gry p. Łąckiej w roli Vittorina. Dołączyła ona do swego repertuaru jeszcze jedną znakomitą kreacyę. Reszta ról była oddana starannie i poprawnie.

K. R.

niezachwianie przy kościele ojców swoich.

Quis.

Korespondencya.

Warszawa, dnia 3 września.

(Tylko smutne wieści. — Bohaterskie czyny Czertkowa. — Car w Królestwie. — Prawdopodobne ustąpienie Czertkowa. — Domniemani jego następcy. — Dragomirow i Puzyrewski. — Rozruchy żydowskie. — Nam ich nie trzeba!)

Żądacie odemnie korespondencyi z zaboru rosyjskiego. Chętnie czynię zadość żądaniu waszemu, jakkolwiek pisywanie korespondencyi z tej naszej największej dzielnicy polskiej nie należy do rzeczy przyjemnych. Jakże chętnie wobec naporu niemieckiego, który odpieracie z taką bohaterską odwagą, radbym was pocieszył pomyślniejszemi wieściami z naszego zaboru, któreby wam dodały otuchy i pewności siebie! Niestety, takiemi wieściami służyć wam nie mogę, bo u nas ta sama walka i niemal ten sam ucisk, co u was. Otuchą może być dla was tylko przeświadczenie, że tak samo jak wy, odpieramy ataki wymierzone na narodowość naszą, o ile to wobec gniotącego nas *absolutyzmu* możliwe, i że mimo niedoli i ucisku ani na chwilę nie wątpimy o lepszej przyszłości narodu naszego.

Przez pewien czas, jak wam wiadomo, zanosiło się i u nas na złagodzenie systemu rządowego, na sprawiedliwsze rządy. I u nas nadzieja ta wytworzyła partyę i politykę ugodową, — do której — przyznam [illegible] otwarcie — i ja należałem. Mniemaliś[illegible] wielkiej Rosyi odezwie się raz p[illegible] prawdziwa *dusza słowiańska*, że i w kołach rządowych zrozumieją wreszcie, iż zgoda z Polakami, oparta na sprawiedliwości i uszanowaniu ich nigdy nie przedawnionych praw narodowych państwo rosyjskie tylko wzmocnić zdoła.

Ale nadzieja ta rychło się rozwiała. Rządy *Czertkowa* wróciły znów na dawne tory rusyfikacyjnej polityki i dziś niema widoków *żadnych*, aby się to wkrótce zmieniło. Dopóki w Petersburgu rządzić będą Niemcy i ich wychowańcy, dopóki po *Wittem* następować będzie *Peske*, dopóki rej tam wodzić będą *Plehwowie* — żadnej ulgi spodziewać się nie możemy.

Kto wie, może to i lepiej! Polityka ugodowa wiedzie na manowce; doświadczyliśmy tego tak samo, jak wy w zaborze pruskim. Natomiast polityka, opierająca się *nie na łasce cudzej*, jedynie *na własnych siłach i sprawach*, *wzmacnia i krzepi.*

O nowych czynach rusyfikacyjnych zdziecinniałego ze starości, lecz w tej zdziecinniałości zawsze jeszcze nienawidzącego Polaków Czertkowa, wiecie już zapewne. Mam tu na myśli narzucenie języka rosyjskiego miejskiemu Towarzystwu kredytowemu i zabronienie tworzenia polskich komitetów ratunkowych dla powodzian. Wiecie też już, że car bawił w Królestwie lecz do Warszawy nie wstąpił. Czertkowowie wielcy i mali boją się podobno osobistego zetknięcia się cara z Polakami. Właściwie o to ostatnie nie mamy powodu się gniewać. Pobyt władzcy rosyjskiego w naszem mieście zawsze dotkliwie daje się we znaki ludności, już to przez rozmaite bardzo dokuczliwe zarządzenia policyjne, albo też przez nowe upokorzenia, jakie znosić trzeba w milczeniu. A możliwość, iżby w czemkolwiek wpłynął na pomyślną zmianę naszego położenia na razie zupełnie wykluczona. Niechże więc car bawi się w Spale i w Skierniewicach, nam z tem lepiej.

Pierwsze atoli dwa bohaterskie czyny Czertkowa niemałe tu wywołały rozgoryczenie. To też z pewną satysfakcyą powitano wiadomość, że ten nasz satrapa otrzymał urlop, że wyjechał z Warszawy, i że prawdopodobnie już do nas nie wróci. Jako domniemanych jego następców wymieniają pogłoski byłego gubernatora Wilna, generała *Wahla* i obecnego w tem mieście generał gubernatora, księcia *Swiatopełka - Mirskiego.* Ten ostatni pochodzi z rodziny dawniej polskiej, czuje się atoli tak samo Rosyaninem i czynownikiem carskim, jak Czertkow. [illegible] wymienia fama obecnego wiel[illegible] generała *Bobrikowa.* Czy który z nich rzeczywiście wprowadzi się do naszego zamku królewskiego — tego nikt dziś przewidzieć nie może. To atoli pewna, że żaden z nich nie będzie lepszy od Czertkowa. Może co najwyżej być bardziej *europejskim* i *cywilizowanym*, więcej też na razie od niego nie wymagalibyśmy.

W *Kijowie* ustąpił generał gubernator tamtejszy, generał *Dragomirow.* Była to wśród czynownictwa rosyjskiego postać wyjątkowo sympatyczna. Uprzejmy, sprawiedliwy, nawet trochę wolnomyślny, łagodził, o ile mógł szorstkość systemu rządowego, lecz to właśnie pozbawiło go urzędu. Był on dla [illegible] zbyt liberalnym. Następcą jego ma zostać według pogłosek albo obecny rosyjski minister wojny *Kuropatkin*, albo też pomocnik „naszego" wielkorządzcy Czertkowa, generał *Puzyrewski.* Ostatni znany jest i wam z dobrej sławy, jaką zdobył sobie tu w Warszawie. Mówi płynnie po polsku, zna dobrze naszą dzieje i naszą literaturę i nie okazuje względem nas nienawiści. To też szczerze życzyć by można polonii w Kijowie i na Rusi, ażeby jego właśnie dostała na generał-gubernatora. Ale i on zapewne będzie obecnym wszechwładzcom w Petersburgu zbyt łagodnym na to stanowisko w kraju, który ostatecznie zawsze jeszcze ma częściowo polski charakter.

Rozruchy *antysemickie*, które wybuchły w kilku miastach na *Litwie* i *Rusi*, nie przeniosły się jeszcze do nas, jakkolwiek i u nas wyzysk ludu ze strony żydów jest straszny i wprost bezczelny. My jednakże nie pragniemy tego rodzaju wybuchów namiętności. To, co w Rosyi uchodzi bezkarnie, u nas ściągnęłoby na lud polski nowe prześladowania. Łatwo atoli być może, iż niżsi czynownicy rosyjscy postarają się o to, aby i w naszym kraju przyszło do takich starć — raz przecie już tak było przed dwudziestu przeszło laty. Złym duchom w opinii rosyjskiej zależy przecie dużo na tem, ażeby mogli potem powiedzieć: patrzcie! Polacy nie są lepsi od rzekomo ciemnego tłumu rosyjskiego. My potępiamy stanowczo wszelkie tego rodzaju gwałty raz dla tego, że sprzeciwiają się zasadom chrześciaństwa, cywilizacyi i kultury, a powtóre, że do celu nie prowadzą, bynajmniej nas nie uwolnią od plagi żydowstwa. W tym kierunku pomódz nam może jedynie zasada, jaką rozwinął świeżo hr. *Tyszkiewicz*, w liście swym pisanym do „Wieku." Nie podzielam bynajmniej jego zbyt filosemickich zresztą zapatrywań, w tem atoli godzę się z nim, że ratunkiem dla nas może być *tylko rozwój ekonomicznych zdolności i ekonomicznej solidarności w naszem społeczeństwie.* Niech nasi kupcy i przemysłowcy obsługują swych odbiorców sprężyście a uczciwie, niech ogół trzyma się ściśle zasady *swój do swego.* A wówczas te pasożyty semickie same nas opuszczą i nie potrzeba do tego bynajmniej mordów i rzezi.

Tyle na dziś, za tydzień więcej!

Wytrwały.

Walka naszych wychodźców

z germanizacyą przez kościół.

W ostatnich czasach, wśród bliżej leżących spraw pisma nasze zapomniały o wychodźtwie naszem, staczającem nieustanną walkę z germanizacyą

przez kościół, i wogóle skłonne są do traktowania spraw naszego ludu na obczyźnie po macoszemu. Nie wolno jednak „Pracy" zbywać milczeniem zapasów, jakie w wielu centrach przemysłowych lud nasz stacza z księżmi, którzy wbrew etyce i nauce chrześcijańskiej robią z przybytku Pańskiego narzędzie germanizacyi. Serdecznie współczując z dolą i niedolą naszych braci, rzuconych na obczyznę wskutek działalności komisyi kolonizacyjnej oraz niekorzystnych warunków zarobkowania, dawaliśmy zawsze chętnie posłuch głosom wychodźców i dzielili się z czytelnikami wiadomościami z Westfalii, Nadrenii i Saksonii. Listy, które ogłosiliśmy, stanowią też ciekawe przyczynki do dziejów naszego wychodźtwa.

Nie we wszystkich centrach przemysłu na zachodzie toczy się cicha walka z księżmi, ale można nad tem tylko ubolewać, gdyż tam, gdzie nie ma walki, nie ma uświadomionych, a samodzielnych umysłów pomiędzy Polakami i nie ulega wątpliwości, że germanizacya robi mniej lub więcej szybkie postępy. Jest to przykra prawda, którą sobie musimy wyznać. Nie wątpimy też, że prędzej czy później cały ogół nasz zwróci oczy na ten smutny i groźny stan rzeczy i zastanowi się poważnie nad tem, jak pospieszyć na pomoc zagrożonemu w narodowości ludowi polskiemu. Czas wielki, aby społeczność nasza zbudziła się do świadomości jaknajprędzej, bo każdy dzień zwłoki przynosi nowy uszczerbek polskości.

Przywięzujemy pewne nadzieje pod tym względem do biura informacyjnego, które ma powstać. Stanowiąc niejako archiwum naszych spraw społecznych, wytoczy ono przed forum ogółu praktyki księży germanizatorów i znajdzie echo w pośród szerokich warstw. Dzisiaj wskutek małostkowej nie[illegible] jaką jedno pismo żywi dla dru[illegible] „Praca" lub inne pismo po[illegible]sciach nawet wprost sk[illegible]nych, dzienniki poznańskie zarówno konserwatywne jak mieniące się ludowemi, z pewnością pominą to milczeniem. Nie kochają bowiem ludu polskiego, nie bratają się z jego dolą, nie kierują się względami obywatelskiemi na dobro rodaków tak dalece, aby powtórzyć odnośną wiadomość za „Pracą" i podjąć materyą.

Do takich spraw należy gospodarka ks. ks. Gerwina i Schäfera w Bitterfeldzie, którzy w tak beztaktowny sposób ranią najświętsze uczucia naszych rodaków, iż wytworzyli niezmierne naprężenie stosunków. Wiele pisali o tem przyjaciele naszego pisma z Saksonii przed kilku miesiącami, a odtąd stan rzeczy nie uległ zmianie, nie widać najmniejszej naprawy. „Robotnik Polski" wychodzący w Bochum z ramienia „Wiarusa Polskiego" pisze p. t. „Hakatyzm w kościele" o znanem czytelnikom naszym zajściu z powodu żałobnego nabożeństwa za duszę Leona XIII. zamówioną przez polsko-katolickie Tow. w Bitterfeldzie. Gdy Polacy przy modlitwie o szczęśliwy wybór nowego papieża odpowiadali po polsku, — do czego na polskiem nabożeństwie przez siebie zakupionem byli aż nadto uprawnieni — ks. Gerwin napadł na nich z niegodną kapłana gwałtownością.

Postępowanie swe tłomaczy ks. Gerwin w liście do pewnego obywatela opublikowanym w „Dzien. Berl." — w sposób nieprzekonywujący. Pisze on, że Polacy „wygrażali mu" i dlatego nakazał im usunąć swe chorągwie z kościoła. Co się tyczy mszy za duszę zgasłego Ojca św. Towarzystwa zakupując ją prosiły zastępcę księdza Gerwina o pozwolenie śpiewania po polsku. Samo przez się rozumie się, że katolikom jakiejbądź narodowości wolno śpiewać w ich języku ojczystym na nabożeństwie przez nich zakupionem. Mimo to ks. Gerwin oburza się, że „niemiecką modlitwę usiłowano zagłuszyć głośnem *mówieniem* (!!) po polsku," a następnie *„przeciw wyraźnemu jego zakazowi* śpiewano po polsku." Wtedy to *„zirytowany"* ks. Gerwin rzucił w twarz Polakom szereg obelżywych słów.

Przyznaję chętnie, pisze ks. Gerwin, — że one były ostre, ale, jeżeli Pan zważy, że przywódzcy radykalnego (?) ruchu polskiego już od dłuższego czasu systematycznie dążą do tego, żeby kłamstwami, (?) oszczerstwami i złośliwem przekręcaniem prawdy na zebraniach, a szczególnie w *radykalnej (?)* prasie polskiej, mnie ztąd wyrugować, że nie cofają się przed podobnemi środkami nawet wobec władzy biskupiej (czy i tę Polacy tamtejsi chcą „wyrugować?" Red. „Dziennika Berl."), że usiłuje się całą ludność polską przeciw mnie podburzyć (aufzuhetzen), że nawet w delikatne serca dzieci, które z całą miłością i dziecięcem zaufaniem przywiązane były do swego duszpasterza, zaszczepia się nieufność do niego, to uznasz Pan, że może w wzburzeniu wypowiedziane słowa, jeżeli nie były stósowne, to przynajmniej zrozumiałe. (?)

Dotąd na kłamstwa, oszczerstwa i złośliwe przekręcanie prawdy, rozszerzane przez „Wiarusa Pol.", „Robotnika Polskiego" i *„Pracę"* w ostatnim czasie o mnie, o mej duszpasterskiej działalności i o mej urzędowej działalności jako lokalnego inspektora szkolnego (aha*!)* milczałem i będę też i nadal uważał poniżej mojej godności (no! no!) wdawać się z tego rodzaju pismami (wszystkie one są szczerze katolickie! Red. „Dz. Berl.") w polemikę prasową."

Tyle ks. Gerwin. Bardzo wygodnie urządził się ks. Gerwin, ale czy godnie to pytanie. Z ambony namawiał do bojkotu „Pracy," inne pismo katolickie z lekkiem sercem nazwał socyalistycznem, wyklął je, a teraz — „uważa poniżej swej godności wdawać się w polemikę." Gdyby ks. Gerwinowi tak chodziło o godność nie byłby po pierwsze w tak niegodny kapłana sposób nastawał na swych polskich parafian, a po drugie nie lekceważył sobie *„radykalnej" (!)* prasy polskiej, lecz znalazł słowa repliki. Przez to, że się kogoś lekceważy, nie obmywa się z winy. Nie wzgląd na godność skłania księdza Gerwina na milczenie, lecz nieczyste sumienie. Gdyby mógł się uniewinnić, z pewnością uniewinniałby się nawet wobec „radykalnej" prasy. Ponieważ się nie uniewinnia — *nie może się uniewinnić.*

Zresztą ks. Gerwin jest tak dobrze znanym naszym czytelnikom, że poczytują go za typowy okaz księdza germanizatora.

Jakie śliczne stosunki wytworzył on z ks. Schäferem w Bitterfeldzie opowiada w replice na powyżej zacytowany list jego pewien korespondent „Dziennika Berl.", który między innemi pisze:

„A co powiecie, kochani rodacy, na to? Gdy 26-go września dwóch Polaków udawało się do nas na zebranie, na którem p. Bloch z Berlina, prezes Związku katol. Towarzystw robotników polskich w Niemczech, miał przemawiać, spotkali oni po drodze ks. Schäfera. Byli to pp. Majewicz i Cwojdziński. Ks. Schäfer zapytał ich, dokąd idą. Na zebranie! brzmiała odpowiedź. Ks. Schäfer: Pewnie tam znowu o nas radzić będziecie? Majewicz i Cwojdziński odpowiadają: Cobyśmy o księżach mówić mieli? Ks. Schäfer: Czy i Wy jesteście tego samego zdania co Kunz i Szyszkowiak? Majewicz i Cwojdziński tłomaczą: Toć Kunz nic złego nie zrobił. Ks. Schäfer: O Kunza już mniejsza, ale Szyszkowiak, on tu burzy! Szkoda, że tu nie mają fabrykanci takiego związku (Ringu) jak w Helbrze, bo bym dawno był się wystarał, żeby musieli swoje manatki zapakować i się wynosić. *Byłem już zdecydowany Bitterfeld opuścić, ale teraz na złość nie ustąpię radykałom polskim. Tej przyjemności*

im nie zrobię! A gdybyśmy mieli ustąpić, tj. wynieść się ztąd, to postarałbym się o to, żeby i Polacy musieli się wynosić, a Szyszkowiaka *na Sybir kazałbym wysłać!*

Za dokładność powyższych pogróżek księdza Schäfera ręczymy sumieniem. Że tak było, przysięgamy na wszystko co nam najświętsze.

Prawdą jest także, że ks. Schäfer był na policyi. Przyznał się do tego u p. Szyszkowiaka.“

Mamy nadzieję, że ks. S. namyśli się i zdecyduje się jednak opuścić Bitterfeld. Kapłan, który *na złość* robi swym parafianom, który obawia się zrobić im przyjemność, nie zasługuje na ufność i szacunek, jakiemi lud polski otacza swych duszpasterzy. Taki duchowny może tylko zgubny wywierać wpływ, odstręczając nabożnych od kościoła. Nie powinno być dla niego miejsca w polskiej parafii.

Niestety władza biskupia nie skłonną jest wejrzeć w stosunki panujące w parafiach polskich, ale Polacy w Bitterfeldzie i innych miejscowościach nie powinni zrażać się tem, nie powinni ulegać germanizatorom i zaprzestawać zanoszenia skarg. Rodacy nasi w Bitterfeldzie, silnie stojąc na swym gruncie, uzyskają też prędzej czy później to, że ks. Gerwin i Schäfer będą musieli opuścić parafią, w której tak smutnie zapisują się w pamięci nabożnych katolików.

Ordon.

Kronika przedwyborcza.

W Prusach Zachodnich pan Kulerski nie przestaje zaprzątać jeszcze umysłów. Komitet wyborczy na Prusy Zachodnie „ze względu na blizki koniec swego urzędowania“ uważał za konieczne uzasadnić swe postępowanie w sprawie wyborów w Tucholskiem, które spotkało się z ostrą krytyką pism demokratyczno- postępowych. Komitet wyznaje, że jedynie „celem zapobieżenia secesyi przy wyborach“ ustanowił kandydaturę p. K. na okręg grudziądzki, a nie ustanowił go na okręg tucholski dlatego, że nie mógł się oddawać złudzeniu, że p. K. jest odpowiednią osobistością na posła, a „Gaz. Grudz.“ pisała, że p. K. dłuższy czas jest niezdolny do pracy umysłowej. Jest to dziwne rozumowanie. Groza secesyi istniała nietylko przed wyborami w Grudziądzkiem, lecz także w Tucholskiem. Jeżeli zatem celem zapobieżenia jej stawiono kandydaturę pana K. w Grudziądzu, powinien był Komitet również stawić ją w Tucholi. Czy p. K. jest lub nie jest odpowiednią osobistością na posła. Komitet mógł był wiedzieć przed wyborami w Grudziądzu równie dobrze, jak wiedział przed wyborami w Tucholi. Cobądź zatem mówi Komitet na swe uniewinnienie nie ujdzie zarzutu, że postąpił sobie nielogicznie, chwiejnie i błędnie.

Równocześnie z tym manifestem Komitetu ogłosił p. K. w „G. Grudz.“ list do swych wyborców, w którym rozpisuje się szeroko o swem zdrowiu, chociaż kwestya ta nie jest znowu przedmiotem interesu publicznego tak dalece, jak zdaje się on sądzić!

Oba te pisma, utrzymane w tonie głębokiej wzajemnej niechęci, wykazują, jak wielki jest rozbrat pomiędzy obu stronnictwami w Prusach Zach. Komitet wyborczy nie odradza najmniejszej skłonności do porozumienia, przeciwnie, stoi widocznie na tem stanowisku, że p. Kulerski powinien być wykluczonym z Koła polskiego.

Atoli p. Kulerski rozumie bodaj dobrze swe położenie, starając się zjednać sobie umysły członków komitetu przez to, że na wiecu przedwyborczym w Tucholi — który się odbył w tych dniach — polecał kandydaturę swego przeciwnika przy wyborach do parlamentu: pana Sikorskiego.

Na wiecu tucholskim uchwalono następującą listę kandydatów: *X. Kiedrowski*, p. Prądzyński z Bralewnicy, dr. Karasiewicz.

Na wiecu w *Lubawie* zgromadzeni przyjęli jednomyślnie kandydaturę posła *Czarlińskiego* i dr. *Rzepnikowskiego*.

Z *Kartuzkiego* piszą do „G. Tor.“ że wyborcy życzą sobie stawić na kandydatów X. dr. Thokarskiego i prof. Schroedera. Ponieważ jednak pierwszy dla braku zdrowia nie może przyjąć poselstwa, wyb. pragną w to miejsce postawić X. prob. *Łosińskiego* w Sierakowie. Jak wiadomo, pierwotnie mówiono o kandydaturze p. red. Palędzkiego z Gdańska.

Z Chełmna proponuje pewien korespondent „Gaz. Tor.“ uwzględnić także mniej zamożnych ale światłych i wyszkolonych politycznie rodaków i wymienia nazwiska osób z różnych stanów, które posiadają w jego mniemaniu odpowiednie kwalifikacye. Byłoby rzeczą dobrą, aby w W. Ks. Poznańskiem podnosiły się z łona wyborców takie głosy, aby gorliwsi obywatele wyrażali w prasie swe życzenia i imiona osobistości, posiadających zaufanie i mir, jako ewentualnych kandydatów na posłów.

Co się tyczy wyborów do sejmu *na G. Ślązku* pisze „Dzien. Ślązki“:

„Głosy ludu polskiego były przeważnie po stronie centrowców; w niektórych okręgach wszelako, jak w bytomsko - katowicko - tarnogórsko - zabrskim, w pszczyńsko-rybnickim, raciborskim, lublinieckim znaczna ilość wyborców polskich z powodu zależności i jawnego głosowania oddawała głosy na przeciwników centrowych.

Rzeczą jest jasną, że gdyby wybory sejmowe odbywały się tak, jak do parlamentu, *polscy wyborcy we wszystkich powiatach polskich G. Ślązka mogliby zwyciężyć.*

Każdy pojmuje niezawodnie, nawet i w redakcyi „Górnoślązaka,“ że wybory sejmowe to zupełnie inna sprawa, aniżeli wybory do parlamentu.

Mamy nadzieję, że powołani ze strony polskiej do zajmowania się sprawą tychże wyborów mężowie sumiennie rozważą wszystko i powezmą stósowne uchwały w poczuciu odpowiedzialności wielkiej. **Uchwały te powinny być naszem zdaniem tego rodzaju, ażeby wyszły ludowi na rzetelny pożytek, ażeby nie były czynem uniesienia, w polityce najzgubniejszego, lecz rezultatem rozwagi, która sprawami tak kieruje, że każdy krok może uzasadnić i wobec swoich i przeciwników obronić.“**

Q.

Odrodzenie
ducha narodowego.

W. Feldman. Piśmiennictwo polskie ostatnich lat 20.

II.

W Warszawie rządził od r. 1883 Hurko. **Zaczęło się ze zdwojoną siłą tępienie polskości wszelkimi zaostrzonymi środkami przemocy i barbarzyństwa. Jęk dławionej Litwy, jęk męczonego Podlasia musiały coraz silniej wstrząsać każdem sercem polskiem.** Głos protestu zawisał na wargach, chociaż go usta jeszcze nie wydawały.

Najwięcej jednak przyczynił się do rozbudzenia polskości w ostatnich dziesięcioleciach ów człowiek, który — jak zły duch, który pragnąc złego stwarza wciąż dobro — Bismark. W r. 1885 **dosięgała zenitu fala antypolskiej jego polityki.** Z pośród „narodu myśliciel i poetów“ padło złowróżbne hasło *„Ausrotten,“* — ciało parlamentarne rzuciło całemu narodowi w twarz prawa wyjątkowe, uchwaliło olbrzymi fundusz dla wykupywania ziemi z rąk ludności polskiej, a równocześnie zaczęto drogą administracyjną wypędzać z siedzib ojczystych dziesiątki tysięcy ludzi pracy, — starców, kobiety, dzieci, chorych: za to, że na swej ziemi swoim mówią językiem.

Ta wojna z całem wyrafinowaniem pseudokultury wydana narodowi — w

...arym też narodzie wywołała jeden dreszcz i krzyk jeden, po którym się znowu poznali wszyscy, że są braćmi.

Poruszyły się głębie duszy narodowej. W duszach otwierają się sztucznie zasklepione dotychczas źródła głębokiego rozrzewnienia, ukochania tego, co nasze, — dreszcze rozpamiętywań wstrząsać zaczynają duszami, rozpala się ogień patryotyczny drzemiący pod popiołami.

I pojawił się wreszcie pisarz szerokiej miary, który swem piórem potrafił narodowi dać dzieło, potężne wrażeniem: działanie jego było jak działanie burzy przeczyszczającej stęchłą atmosferę.

Pisarzem tym był *Henryk Sienkiewicz*. Dziełem tem — „Ogniem i mieczem“ (r. 1884).

Tłumione w narodzie uczucie szukało napróżno dla siebie wyrazu: mistrz zrozumiał tę potrzebę duszy narodowej i dał jej ujście. Wpatrzył się w przeszłość i wskazał w bohaterskich rycerzy broniących oblężonego Zbaraża przed zalewem barbarzyńców.

Ze stu tysięcy piersi odpowiedział mistrzowi głos zachwytu.

Dzieło Sienkiewicza, to nie szereg książek — to czyn wielki! Dusza narodu łaknęła go, wyczekiwała, pragnęła swojskości, a dawno już, dawno żadna książka tak nie dyszała polskością, dawno już żadna nie była zdolna, jak ta, do pokrzepienia serc, budzenia drogich wspomnień, dostarczenia tchu dla przytłoczonych piersi.

Takiem się stało znaczenie dzieł historycznych Sienkiewicza: do mas włościańskich i oddalonych od kraju wędrowców, których książka stała się własnością, niesie ona im oddech ojczystej ziemi i blask chwały nawet wśród najgorszego ucisku. Księgi Sienkiewicza stały się dla Polski dzisiejszej księgą rapsodów narodowych, na której kształcili się młodzi i którą się krzepią starzy, — która zamyka w sobie treść życia przodków i daje przykład pokoleniom dorastającym.

Wśród pisarzów kierujących nawą piśmiennictwa naszego w ostatniem 20-leciu wybitną indywidualnością jest *Prus* (pseudon. Aleksandra Głowackiego). I on też dorzucił do skarbnicy poczucia narodowego swój udział: dzieło „Placówkę“ (r. 1884). Już nie jednostka, lecz naród cały staje się jego bohaterem — wielka idea jego celem.

Jesteśmy na ziemi, zagrożonej przez germanizm „*Drang nach Osten.*“ I Prus wpatrując się w położenie, dostrzega, że ostał się nieporuszony jeden tylko filar polskości, filar wrosły w ziemię i zespolony z nią: chłop. W prostym wieśniaku, w chłopskiej chacie widzi Prus *placówkę* narodowości.

A siłą chłopa, która czyni z niego tę placówkę, jest nie rozum, nie uświadomienie, lecz — *uczucie*. Slepe, namiętne, bezgraniczne przywiązanie do ziemi, instynktowne trzymanie się ziemi oburącz, źródło siły, odporności.

Uczucie to — powiada Prus — oto najlepszy patryotyzm. Nieruchome, niewzruszone, twarde jak głaz — a na głazie tym bezpiecznie stoją placówki narodowe.

Znamienny ten zwrot ku „uczuciu“ był już zapowiedzią przygotowującego się ożywienia na całej linii. Zwrot ten odczuwały jednak tylko pojedyńcze, wybrane duchy.

To, co około 1880 spoczywało w głębi duszy narodowej, — te odruchy, poprzedzające ogólne zbratanie się wszystkich klas narodu pod sztandarem patryotycznym, wypowiedziała z niebywałą siłą i śmiałością *Marya Konopnicka*. I niech to będzie jedną z chwał kobiety-Polki, że kobieta pierwsza odczuła, czego mężczyźni sobie nie uświadomili mózgiem.

W rozwoju nietylko literatury ostatnich lat dziesiątków, ale i w rozwoju narodowej myśli oznacza nazwisko Konopnickiej etap. Do liry wielkich poetów Konopnicka nawiązała nową strunę: lud polski, w nowoczesnem, społecznem znaczeniu.

Lud całkiem inny od tego, który od czasu do czasu używany był przez poetów za dekoracyę i tani środek wywoływania lirycznych wzruszeń.

Na tej strunie poezyi wyśpiewuje Konopnicka szereg pieśni pełnych melodyi i żalu, pełnych szczerości i prostoty, a echo ich odbijają gaje, lasy, dąbrowy. Śpiewa dolę i niedolę ludu, śpiewa jego tęsknotę i bóle, wypłakuje z nim razem skargi na głód, krzywdy, sieroctwo, ucisk.

Głównem dziełem Konopnickiej jest „Pan Balcer w Brazylii.“

Jest to dzieło, godne stanąć obok „Pana Tadeusza,“ — jest bolesna, krwawiąca serce historya tłumu wychodźców, którzy musieli opuścić ukochaną glebę, aby wśród obcych, hen, za morzem, szukać przytułku.

Od chwili, gdy tłum wychodźców staje na pokładzie okrętu, pełen otuchy i wiary w ziemię obiecaną, aż do chwili, gdy gromada ta zdziesiątkowana, wyniszczona głodem, chorobą, męką, rozpaczą, tęsknotą przedziera się przez szczyty Kordylierów napowrót do domu — jesteśmy świadkami jednego wielkiego aktu męczeństwa, przez które przechodzi cały lud, cały naród polski.

Epopea ta staje w pośrodku dwóch pokoleń: między tym ludem, który umiał cierpieć, wierzyć, zaś ślepym instynktem iść w świat i ginąć, — oraz tym ludem już uświadomionym, czerpiącym u źródeł poczucie swej misyi narodowej, jaki się dziś wytwarza i na jakim dziś opierają się nadzieje przyszłości.

Konopnicka genialnem piórem odtworzyła lud pierwszy, ten znikający — i może nie bez przyczyny przeniosła go na obczyznę: widok jego konania w domu byłby zbyt rozdzierający; wzbogaciła piśmiennictwo nasze pomnikiem, od którego bije smutek bezbrzeżny, ale i piękno, ukazujące, acz kolwiek w mglistej dali — lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Konopnicka jest szczerą, gdy pisze:

O, gdyby nie wy, proste, wierne dusze,
Com was znalazła, jak się skarb znajduje,
Cobym robiła w świata zawierusze...
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę
I wielkiem ludzi kochaniem przejmuję
I wiem już za czem odwrócę tu głowę,
Odchodząc w kraje ciche i zmierzchowe.

O tę strunę, z której Konopnicka *wydobyła perły poezyi*, potrącić miała nieco później inna, silniejsza, męzka dłoń.

Niepoślednie miejsce wśród plejady naszych poetów ostatniej doby zajmuje *Jan Kasprowicz*. Teraz dopiero nadszedł jego czas, który zadatki jego natury rozwinął w całej pełni.

Twórczość Kasprowicza z całego ubiegłego dziesięciolecia — to jeden dramat szamotania się, wewnętrznego łamania się, poszukiwania formy, w której duch poety zamknąćby zdołał treść swą.

I formę tę poeta wreszcie zdołał w sobie znaleść — tak jak znalazł w sobie potężne pierwiastki rodzinne i dał im przewagę w swej twórczości.

Twórczość Kasprowicza dziś (w poematach „Ginącemu światu“) jest ciągłem przykładaniem ucha do łona ziemi rodzinnej, wchłanianiem jej tętna, wyzbywaniem się wszystkiego, co narzucone, obce, nieswojskie, sztuczne — poezya jego staje się dzięki temu coraz czystszym, coraz potężniejszym żywiołem, — instrumentem, przez który duch ludu polskiego wieczyste swoje wypowiada słowo...

Sięgnąwszy dna duszy swej, odkrył Kasprowicz tam nagromadzone przez wiekową kulturę chłopskich warstw — skarby klejnotów i obrazów, niewyczerpane źródła poezyi elementarnej swojskiej. Odkrył w sobie właściwą warstwom chłopskim naszym żarliw...

wiarę wraz z fatalizmem tragicznym — i na tej tkance rozsnuł przepyszne obrazy i nastroje, jakich od czasu pojawienia się „Dziadów“ Mickiewicza poezya nasza nie znała.

On.

(Dokończenie nastąpi.)

Z TYGODNIA.

Toasty, wygłoszone przez monarchów *Austryi, Węgier i Rosyi* podczas śniadania galowego w zamku Schönbruńskim pod *Wiedniem*, przekonać miały Europę, że między temi dwoma mocarstwami panuje zawsze jeszcze co do kwestyi *bałkańskich* najzupełniejsza harmonia i jednomyślność, że łącząca je „entente cordiale“ jest dziś serdeczniejszą i silniejszą, niż była kiedykolwiek. Obaj monarchowie prześcigali się nawzajem w uprzejmościach i czułościach i zapewniali się o niezłomnej swej życzliwości i przyjaźni. Właściwie, po ostatnich jednobrzmiących notach obu ich rządów, o których wspomnieliśmy w poprzednim numerze, zapewnienia te były ... zbyteczne. Noty te bowiem dostatecznie już obwieściły światu zapatrywania Wiednia i Petersburga na sprawę *macedońską* a biednych powstańców macedońskich przekonały dostatecznie, że ze strony tych dwóch nieproszonych zresztą opiekunów pomocy w swej walce o wolność spodziewać się nie mogą. Snać atoli uznano w Wiedniu za potrzebne podkreślić raz jeszcze tę jednolitość polityki wschodniej obu mocarstw słowami monarszemi.

Po tem śniadaniu obaj monarchowie wraz z świtami swemi wyjechali do *Mürzsteg* w Styryi na łowy. I podczas, gdy oni polowali na kozice, ministrowie spraw zagranicznych obu państw rozprawiali w dalszym ciągu nad uśmierzeniem *„buntu“* macedońskiego. Wila, w której narady te się odbywały, otoczona była przez ciekawych korespondentów i reporterów prasy. Jeden z nich, korespondent wiedeńskiej „Allgem. Zeit.“, nie mogąc się nic pewnego dowiedzieć o przebiegu i rezultacie narad, w przystępie złośliwego humoru tak określił swoje spostrzeżenia: „Widziałem obu ministrów — Lambsdorffa i Gołuchowskiego — naradzających się w pokoju balkonowym. Rozmawiali z sobą, czytali jakieś akta i *ziewali*. Słońce świeciło jasno i rysowało wyraźnie sylwetki cieniowe obu mężów stanu. Cień Gołuchowskiego, który siedział w fotelu, pełzał po podłodze, cień stojącego hr. Lambsdorffa poruszał się na ścianie. Te cienie charakteryzują dobitnie stanowisko obu mocarstw. Rosya *stoi*, porusza się i ton nadaje, Austro-Węgry pełzają u jej nóg.“ Dowcip to tylko, ale znakomicie charakteryzujący wzajemny stosunek obu mocarstw. Mimo istniejącej rzekomo między niemi harmonii, nie trudno dostrzedz, że kierującym czynnikiem w tym sojuszu jest Rosya, biernym wykonawcą jej woli Austrya. Rosya też — nie Austrya zbierze kiedyś plony dzisiejszej ich *wspólnej* polityki na Bałkanach.

Rychło zresztą oba rządy wyjawiły przed światem to, czego się korespondenci w Mürzsteg dowiedzieć nie mogli, a mianowicie, co tam uradzono. W tych dniach pojawiły się bowiem nowe noty obu mocarstw. Dowiadujemy się z nich, że postanowiono nieco rozszerzyć akcyą pacyfikacyjną i to w tym kierunku, że rządy Austryi i Rosyi *wykonywać będą ścisłą kontrolę nad przeprowadzeniem zaleconych reform w Macedonii i że postarają się o to, ażeby ustały rzezie i gwałty tureckie, a ludność, która zbiegła z swych siedzib,* mogła wrócić do nich i otrzymać środki na odbudowanie spalonych domów, kościołów i szkół. Do tego rozszerzenia akcyi skłoniła podobno panów Lambsdorffa i Gołuchowskiego stanowcza postawa Anglii, która oświadczyła, że jeźli Rosya i Austrya nie uczynią coś *więcej* dla Macedończyków, ona rozpocznie akcyę na *własną* rękę.

Jak widzimy — rezultat szumnego tego zjazdu monarchów i ich ministrów jest bardzo mały. Z góry też przewidzieć można, że *nie zadowoli on Macedończyków,* ani opinii publicznej w księstwie *Bułgarskiem.* Opinia ta zdradza coraz większą niechęć do Rosyi, której zarzuca, że zapomina o swem słowiańskiem posłannictwie. Na razie tedy nic się nie zmieniło i sprawa bałkańska tak samo dziś grozi Europie katastrofą, jak groziła dotychczas. Nadmienić jeszcze wypada że walka w *Macedonii* toczy się dalej, że Turcy znów w kilku miejscowościach wycięli w pień kilka tysięcy mieszkańców, za co wprawdzie powstańcy ukarali ich natychmiast rozbiciem kilku mniejszych oddziałów tureckich. Takiego płomienia nie można będzie przytłumić *papierowemi reformami.*

Niemcom austryackim te wizyty monarsze w ostatnim miesiącu porządnie znów przewróciły w głowie. Zdaje im się, że znów są wszechwładnymi panami w Austryi i że ta Austrya *niemiecka* zawsze jeszcze odgrywa ważną rolę w Europie. Wnosić to można z głosów prasy wiedeńskiej. Tymczasem wewnętrzne stosunki Austryi i Węgier układają się tak, że albo nastąpi zupełne rozbicie monarchii, albo też hegemonia Niemców rychło już skończy się raz na zawsze. Mianowany ponownie prezydentem gabinetu węgierskiego pół Madziar pół Niemiec hr. *Khuen* nie długo cieszył się władzą. Jeszcze *nie utworzył* nowego gabinetu a już podać się musiał ponownie do dymisyi. Stało się to z następującego powodu: Prezydent gabinetu austryackiego Dr. Koerber w mowie wygłoszonej w parlamencie austryackim w sprawie wojskowej ostro przyciął Węgrom. Parlament węgierski żądał od hr. *Khuena,* aby dał Koerberowi publicznie ciętą odprawę. Khuen tymczasem — wziął w obronę *Koerbera.* To oburzyło nawet rządową większość węgierskiego parlamentu, odwróciła się ona od nowego prezydenta gabinetu, i „katowi Chorwacyi“ nie pozostało nic innego, jak ponownie usunąć się z widowni. Dziś na Węgrzech położenie jest bardziej jeszcze zagmatwane, niż było przedtem. Jak słychać, nowy rząd węgierski ma utworzyć znów Dr. *Szell,* który ustąpił przed półrokiem. Zręczny to mąż stanu, ale i jemu nie powiedzie się już przywrócić na Węgrzech normalnych stosunków bez znacznych ustępstw na *rzecz języka węgierskiego w armii.*

Niemcy w Austryi i w otoczeniu cesarza mogli by wprawdzie znaleźć dobry środek na poskromienie buty węgierskiej: środkiem tym byłoby zmobilizowanie *Słowian i Rumunów* na Węgrzech przeciwko Madziarom. Ale tego środka boją się Niemcy sami jak ognia; Słowian bowiem nienawidzą bardziej jeszcze, niż Madziarów. Na razie więc nic innego im nie pozostanie, jak kapitulacya wobec Węgrów.

Zresztą ruszają się już i *Czesi.* Stronnictwo młodoczeskie zamierza w sejmie czeskim rozwinąć ponownie *kwestyą prawnopolitycznego stanowiska krajów korony św Wacława* i zażądać dla nich tych samych praw, jakie mają Węgry. I z tej strony więc grozi Niemcom austryackim nowe niebezpieczeństwo.

Rychło też dowiedział się świat, że ustąpienie *Chamberlaina* z gabinetu angielskiego nie było jego upadkiem lecz zapowiedzią nowego *zwycięstwa.* W tych dniach wygłosił premier angielski lord *Balfour w Sheffield mowę* w której w imieniu rządu przyznał, że stoi on również na stanowisku Chamberlaina i że jego celno polityczny program uważa za jedyne zbawienie dla *Anglii.* Balfour zreformował jedynie program ten o tyle, że nie należy nakładać ceł na sprowadzane z zagranicy artykuły spożywcze, lecz tylko na wyroby przemysłowe. Robotnicy angielscy nie potrzebują się więc obawiać podrożenia cen żywności. Tak zreformo

[...]any program liczyć może na lepsze przyjęcie w szerokich kołach narodu angielskiego. Jeżli zaś dalsza polityka angielska na nim się oprze, wówczas ciężka klęska czeka *Niemcy*, które dziś zasypują Anglię i jej kolonie taniemi swemi wyrobami.

W przeczuciu tej klęski sędziwy uczony niemiecki prof. *Mommsen*, ten sam, który czasu swego nazwał nas Słowian *„rasą mniejwartościową,“* wystosował list otwarty do Anglików, w którym płaszczy się formalnie przed nimi i błaga ich o sympatye i przyjaźń. List ten w Anglii wywołał tylko śmiech szyderczy, Europę zaś przekonał ponownie, że Niemcy umieją być butni tylko wobec słabszych, że zaś wobec silniejszych łatwo bardzo pozbywają się wszelkiej buty.

Sejm pruski jeszcze nie wybrany, a już sfery rządowe przygotowują dla niego nowy twardy orzech do zgryzienia. Jest nim wznowiona na życzenie cesarza sprawa budowy wielkiego *kanału międzylądowego*. Projekt kanału tego upadł przed czterema laty po zaciętej walce między liberałami a konserwatystami. I dziś przewidzieć można, że taki sam los go spotka. Może też znów z tego powodu wyleci z siodła kilku prezesów regencyjnych i landratów. Zdaje się jednakże, że projekt ten ma posłużyć za hasło wyborcze rządowe. Dla nas ta sprawa ma tylko pośrednie znaczenie, naszem hasłem przy zbliżających się wyborach będzie też znowu tylko obrona najświętszych praw naszych i walka z hakatą — aż do skutku!

M. O.

Przegląd prasy.

Zgoda na Ślązku gniewa niezmiernie prasę centrową, która z całym niemal obozem pracowała nad doprowadzeniem do porozumienia przez to, że lekceważyła i odpychała swego sojusznika „Katolika.“ O ile zgoda ta jest niemiłą Niemcom o tyle raduje prasę polską. Jedynie „*Dzien. Pozn.*“ zajmuje dotąd stanowisko sceptyczne i wyczekujące, chociaż nawet „Germania“ jasno i niedwuznacznie wyznaje, że „oficyalne połączenie górnośląskich partyi „Katolika“ i „Górnoślązaka“ nastąpiło w Bytomiu na wspólnem posiedzeniu w dniu 28 września“ a *„Górnoślązak“* pisze:

„Dziennik Pozn.“ nie dowierza jeszcze zgodzie i chce odczekać odezwy wyborczej nowego komitetu prowincyonalnego dla Górnego Ślązka.

„Wątpliwości „Dziennika“ możemy rozproszyć zupełnie. *Zgoda już nastąpiła po przyjęciu warunków przez obydwie strony, których chwilowo nie możemy podać do wiadomości.*“

Co się tyczy składu przyszłego komitetu wyborczego na G. Ślązk zdaje się, iż oba stronnictwa będą w równej sile reprezentowane.

Z wielką radością przyjął wieść o zgodzie *„Kur. Pozn.“* który 10 lat temu — jak mu wytyka pewien organ centrowy — obawiał się zarzutu Bismarcka, iż „sięgamy po nowe zdobycze“ i polecał wydać G. Ślązk na pastwę centrowych germanizatorów. Obecnie, gdy wbrew jego radom zatknięto na Ślązku sztandar polski i rzeczy pomyślny wzięły obrót, tak pisze:

„Jest to jedna z najradośniejszych wiadomości, jaką w ostatnich czasach Polska słyszała — bo oznacza ona nowe stadyum w odrodzeniu Ślązka, które skutkiem zamętu wywołanego tamże w ostatnich czasach, mogło się w rozwoju swoim cofnąć na lata całe i stąd wszystkich szczerych patryotów wielką napełniało obawą o przyszłość Ślązka.

„Dziś wobec skojarzenia się obu kierunków politycznych polskich, wobec zjednoczenia się obu stronnictw celem dźwignięcia wspólnemi siłami narodowego sztandaru obrony polskości na prastarej piastowskiej ziemi — ta obawa ustaje, smutek wywołany widokiem zamieszki pierzcha, i wzrok pełen wesela pada w przyszłość dziejową górnoślązkiego ludu.

„Dziś święcimy to upragnione przez całą Polskę święto zgody na Górnym Ślązku w błogiej nadziei szczęśliwych dni dla tamtejszego społeczeństwa.“

Korespondent śląski *„Gazety Polskiej“* donosi, że redaktor *„Gazety Opolskiej“* nie poszedł jeszcze w ślady ks. Skowrońskiego i p. Napieralskiego i nie wystąpił z lokalnego komitetu centrowego.

„Wolną rękę, czyli politykę wolnego działania, pozostawiono według dotychczasowych układów redakcyi „Gaz. Opolsk.“ i kierownikom wyborów w Opolskiem, ponieważ tak było i przy wyborach do parlamentu ze względu na kandydaturę zasłużonego posła Szmuli, który i w wyborach do sejmu kandyduje w tym samym okręgu. Redaktor „Gaz. Opolskiej,“ Koraszewski, nie wystąpił [illegible] z Opolskiego Komitetu centrowego, zwłaszcza, że tenże Komitet od lat 10 jest przez niego samego utworzony i składa się niemal wyłącznie z przedstawicieli ludności polskiej, do których należy także kilku księży. Niemieccy członkowie tego Komitetu w części wystąpili, w części nie przybywają wcale na [illegible], ponieważ będąc w mniejszości, nie mogą zdobyć dla swoich projektów liczebnej przewagi głosów.“

Nowoutworzony *komitet prowincyonalny na G. Ślązk* podda się — według tego źródła —

„naczelnej władzy, tj. Komitetowi centralnemu w Poznaniu. Towarzystwo wyborcze, którego rola po wyborach do sejmu może być uważana za skończoną, ma się rozwiązać; natomiast „Polskie Tow. Ludowe,“ mające szerszy program, którego treścią jest mianowicie szerzenie oświaty wśród ludu w rozmaitych kierunkach, będzie istniało nadal.

„Kwestya przyszłych wyborów do sejmu w (listopadzie) będzie teraz zależała od uchwały Komitetu prowincyonalnego, a ostatecznie od Komitetu centralnego w Poznaniu.“

W tej chwili przełomu redaktor „Katolika“ robi ciekawe wyznanie wiary, rozpisując się o przyczynach wystąpienia pana Napieralskiego z komitetu centrowego pod adresem niezadowolonych pism centrowych. Z całego tego artykułu wynika, że redaktor „Katolika“ oddawał się płonnym nadziejom jeszcze wtedy, gdy centrum zdjęło maskę i aż nadto wyraźnie okazało swe prawdziwe oblicze. Do centrowców przemawia red. „Katolika“ w tych słowach:

„Dziesięć lat z górą „Katolik“ pracował w tej myśli, dziesięć lat, w których tymczasem stósunki górnoślązkie pod rozmaitym względem się zmieniły. Sprawa polska z powodu coraz silniejszego naporu rządu i nieprzyjaciół Polaków, stała się i u nas sprawą pierwszorzędnego znaczenia. *Te czasy, w których o nas Polakach na Ślązku radzono bez nas minęły bezpowrotnie; lud na ogół biorąc, utwierdził się w poczuciu polskiem i wiedząc o swojej sile, wie i o swoich prawach.*

„Mimo, że to wszystkim innym w oczy się rzucało, *komitety centrowe, a więc partya centrowa w kraju* [illegible] *jakby z zawiązanemi* [illegible] przystać z dobrej woli „Katolika“ [illegible] widziała w nim ciągle ukrytego wroga; [illegible] *przywódzcy centrowi* zamiast zabrać się do gruntownej reformy w swojem własnem łonie, *pocieszali się, że ruch polski jest rzeczą mniej lub więcej przejściową*, że minie i będzie znowu, jak bywało, sławione dawne stósunki patryarchalne wrócą.“

Prawda, że partya centrowa „chodziła jakby z zawiązanemi oczami“ lecz to samo dałoby się powiedzieć o „Katoliku.“ Dopiero nieubłagane fakty otworzyły mu oczy.

Z ogromnego przesilenia na G. Ślązku, polskość wychodzi pomyślnie, ale opłacono je niestety nietylko ofiarami i pracą ze strony pojedynczych osób lecz *krwią i więzieniem.*

Zapadł wyrok w *drugim* procesie z powodu zaburzeń w Hucie Laury i znów srogie kary spadły na oskarżonych tak

iż ogółem sprawa laurahucka kosztuje lud śląski *80 lat więzienia.* A na tem jeszcze nie koniec. Udało się prokuratoryi wytropić jeszcze 5 osób, które brały udział w rozruchach, i te z kolei staną przed kratkami sądowemi.

Inne wyroki zapadają w głębi Niemczech. I tak czytamy w *„Dzien. Berl.“*:

„W procesach o podobne wybryki wyborcze w zachodnich Niemczech, wybryki dla publicznego porządku znacznie groźniejsze aniżeli niemi były w Laurahucie, zapadły wyroki, które ludzkiego uczucia nie drażniły; w Friedbergu poprzestano na karach pieniężnych, choć tam daleko gorsze gwałty spełniono na osobach i rzeczach, aniżeli na Śląsku, w Hanau zaś najwyższa kara za udział w rozruchach wyborczych wynosiła 3 miesiące więzienia.“

Słusznie *„Dzien. Berl.“* podnosi, że prawo zbyt szeroką daje wolność sędziom w tłomaczeniu przepisów o naruszaniu pokoju publicznego.

„Stanowczo powinny uledz zmianie i złagodzeniu w grę tu wchodzące paragrafy 113, 114, 115 i 125 niemieckiego kodeksu karnego. Ułożone w r. 1870, a obowiązujące od 1-go stycznia 1871 nie odpowiadają już duchowi i postępowi czasu i przy zbyt rygorystycznem stosowaniu się do ich martwej litery stają się często wielkiem nieszczęściem dla tylu ludzi i rodzin.

„Przecież sprzeciwia się prostemu rozumowi chłopskiemu przyjęta przez sąd rzeszy i przez sądy zwyczajne interpretacya § 125 kodeksu karnego, dowodząca, że dopuszcza się rokoszu lub naruszenia pokoju publicznego nawet ten, kto przypadkiem znajduje się w tłumie i pociągnięty przez niego bierze udział w zbiegowisku. Na podstawie takiego tłomaczenia rzeczy zapadają w polskich dzielnicach owe srogie wyroki, z ludzkiego stanowiska wprost niezrozumiałe.

„Niech nasze Koło parlamentarne podejmie inicyatywę celem zmiany §§ 113, 114 i 125 kodeksu karnego, niech ją podejmie bądź z stronnictwem socyalistycznem, a zdobędzie sobie wdzięczność nie tylko naszej ludności, ale wszystkich przyjaciół prawdziwego postępu i wolności!“

Nasz świeży *proces polityczny:* proces komitetu wrzesińskiego puściliśmy w niepamięć wśród tylu spraw aktualnych. Dlatego nie podajemy już suchych zapisków z przebiegu tej sprawy i z wywodów prawniczych, sądząc, że nie zrobimy przez to czytelnikom najmniejszej ujmy, zwłaszcza iż gazety codzienne podawały sążniste sprawozdania, a rozprawy naszkicowaliśmy barwnie we „wrażeniach z sali sądowej“.

Niestety prokuratorya postanowiła przypomnieć nam raz jeszcze Wrześnią, *założyła bowiem rekurs od wyroku.*

Na przyszły stosunek Polaków do centrum rzuca światło *„Dzien. Śląski“* donosząc, że komitet centrowy na powiat bytomski oświadczył, iż nie może dotrzymać obietnicy i postawić posła Królika na kandydata poselskiego do sejmu, ponieważ nie może zaręczyć czy Niemcy katolicy zechcą na niego głosować. *„Gaz Tor.“* podkreśla to, zauważając, iż w tem okazuje się niemoc komitetu centrowego, która wyklucza wszelkie polityczne kompromisy.

Gazety niemieckie donoszą, że poseł Królik zamierza złożyć swój mandat do parlamentu i raz jeszcze postawić swoją kandydaturę jako narodowiec, który wstąpiłby do Koła polskiego.

Nareszcie *poseł Korfanty otrzymał ślub kościelny.* Odebraliśmy depeszę z Krakowa zawiadomiającą, że ślub odbył się w poniedziałek w kościele św. Krzyża w Krakowie, a udzielił go *na własną odpowiedzialność* ks. Mikulski. Zapewne spotka go za to ze strony ks. kard. Puzyny reprymenda i kara. Dość jednak, że poseł Korfanty przestał być męczennikiem, którym chcieli go gwałtem zrobić centrowi germanizatorowie z pomocą prusofilskiego kard. Puzyny. Ostatecznie wyświadczyli sobie niedźwiedzią przysługę, a panu Korfantemu uprzejmość o tyle, że przyłożyli skutecznie rękę do rozgłosu jego imienia. — W tej sprawie piszą do *„Dzien. Pozn.“*:

„Tak więc zakończyła się sprawa odmawianego małżeństwa. Epilog wywołał w Krakowie liczne komentarze. Uporczywie krąży pogłoska, że ślub nastąpił za cichem przyzwoleniem (?) ks. kardynała Puzyny, który w ten sposób postarał się rozwiązać niemiłą sprawę. Nie jest to niemożliwe, zwłaszcza, że między obecnymi znajdował się ks. prałat Bandurski, sekretarz ks. kardynała, który inaczej prawdopodobnie nie byłby się pojawił. Jest to możliwe; z drugiej strony można przypuścić i drugą ewentualność, to znaczy, że ślub odbył się bez wiedzy ks. kardynała. Poseł Korfanty przedłożył wszystkie dokumenty, między innemi także świadectwo wywołania zapowiedzi w Bytomiu, dowód przepisanego pobytu w Krakowie i t. p. Tak więc przeszkody kanonicznej nie było żadnej i ks. Mikulski nie mógł odmówić ślubu.“

Ilu Polaków gnieździ się w *okręgu przemysłowym westfalsko-nadreńskim* podaje — jak czytamy w *„Dzienniku Berl.“ „Narodowo-liberalna „Rheinisch-Westfälische Ztg.“*

„Organ ten wielkich przemysłowców okręgu przemysłowego westfalsko - nadreńskiego, oblicza z rozpaczą, że w rzeczonym okręgu zamieszkuje w obecnej chwili 162.578 Polaków, w tej liczbie 29.. zagranicznych. Liczba ta rozpada się na: 59,732 mężczyzn, 35.531 kobiet i 66,295 dzieci poniżej lat czternastu. Liczba dzieci polskich obowiązanych do uczęszczania do szkoły, wynosi 24,851 czyli 9.74°/. ogólnej liczby dzieci do szkół obowiązkowo uczęszczających.

„W okręgu Gelsenkirchen procent ten podnosi się do 21.9, w okręgu Recklinghausen do 16.3, w okręgu Bochum do 12.8. Własne domy mieszkalne posiada 780 Polaków. Wedle wyznania jest wśród nich 111,606 katolików, 50,78. ewangelików (Mazurów), 168 baptystów, pięciu żydów. Liczba przemysłowców polskich wynosi 1519. W czasie zbierania powyższych danych statystycznych w westfalskim okręgu przemysłowym na 171,063 robotników górniczych było 46,38. Polaków czyli 27 prct.; w innych przemysłach pracowało 10,819 Polaków.

„W katolickich kolegiach i reprezentacyach gminnych zasiada wielu Polaków. Polskie związki i stowarzyszenia są bardzo rozwinięte. W Westfalii jest ich 126 liczących 11,845 członków. Obliczono i to nawet, że co drugi Polak dorosły jest członkiem stowarzyszenia narodowego. One to, obok 52 bibliotek polskich, troszczą się o to, aby dążenia „przewrotowe“ wśród Polaków rozwijały się coraz potężniej.

„Strach ma wielkie oczy!“

Dobra wrzesińskie majoratem!

„Dzien. Pozn.“ odbiera z źródła jak powiada „niewątpliwie najpewniejszego“ wiadomość, że majątek wrzesiński zamieniony zostanie na ordynacyę.

Odnośny wniosek i statut, opracowany przez jednego z najzręczniejszych prawników, podany już został do zatwierdzenia sądowi nadziemiańskiemu w Poznaniu.

„Wobec tej pocieszającej wiadomości — dodaje *„Dzien. Berl.“* — dziwić się trzeba, zkąd brały się wiadomości, już od roku kursujące w prasie poznańskiej o „wielkiem niebezpieczeństwie, grożącem ... dnemu z największych majątków ... powiecie wrzesińskim“ i zkąd ... mość, jak się na szczęście ... okazało fałszywa, o dojściu do sk... układów z komisyą kolonizacyjną w tak pozytywnej formie kursowała między publicznością podczas ostatniego procesu gnieźnieńskiego?“

Redakcya.

Walne zebranie przedwyborcze

na powiat gostyński odbędzie się w Gostyniu w niedzielę d. 11-go b. m. o godzinie 3 po poł. w sali strzeleckiej.

Komitet.

X. Jackowski, sekretarz



Członkowie Komitetu wrzesińskiego i ich obrońcy w procesie gnieźnieńskim.

Ziołecki. Nowakowski. X. prob. Łabędzki. Lutomski. Józef Kościelski. Beym. Stefan Chociszewski. Dr. Fr. Niegolewski. Haszkiewicz. Grochowski.

Winnicki. X. Prałat Stychel. Dr. Zygmunt Dziembowski. Radzca Lenzmann. Mecenas Romocki. Mecenas Woliński.

ALBUM „PRACY“.

DRUKIEM „PRACY“.

Dział illustrowany.

NASI POBRATYMCY.

(Parę uwag ogólnych o ziemi czeskiej i jej mieszkańcach).

„Duchowy związek Czechów z Polakami, narodów tak bliskich językiem, obyczajami i geograficznem położeniem, stale wzmaga się historycznemi stosunkami. Liczne, wielce tkliwe przykłady tego widzimy w dziejach, w literaturze i w całem życiu naszem... Starczy przypomnieć tutaj, że Czeszka Dąbrówka zaniosła do Polski chrześcijaństwo, że Bolesław Chrobry myślał o spojeniu Czech z Polską.

W XIV stuleciu powstało przysłowie: „co Polak — to pan, co Czech to hetman“ i sam husycki bohater Jan Zyżka z Trocnowa statecznie bojował na obronę Polski.

W XV stuleciu Królewicz Polski, Władysław, był królem czeskim, a w starożytnym Krakowie dźwięcznie rozlegał się język czeski. Później, gdy nadeszły na naród czeski czasy ciężkie, znaleźli czescy bracia przytułek gościnny właśnie — w Wielkopolsce i t. d. Takowa zgoda, takowe braterskie stosunki łączyły nas w naszych czasach złotych; tak było, tak będzie między nami po wszystkie czasy... Poznajmy się... Kochajmy się!!!“

Ed. Jelinek.

Zdanie poety, iż kto chce zrozumieć poetę, musi najpierw poznać kraj jego, można ująć w ramy szersze i zastosować do całego narodu: dane charakterystyczne, odgłosy namiętności i partyj, dochodząc do narodów ościennych, nabiorą wtedy znaczenia właściwego, gdy znane jest miejsce i powody ich powstania. Stąd podróż śród narodu pobratymczego, dla wielu danych, jest nader pożyteczna. Przedewszystkiem, przynosi ona w rezultacie sprostowanie tych pojęć błędnych, które mogą powstać śród społeczeństwa drogą pośrednią, za pomocą książek, depesz politycznych i t. p. wiadomości, pisanych pod wrażeniem chwili, a daje nieskażony stronniczością obraz rzeczywistego położenia rzeczy.

Poznajmy się!... Oto pierwszy warunek, pierwsze hasło dokładnego ocenienia sił ducha i jego zasobów, pierwszy warunek zbliżenia się. A Czesi ze wszech miar zasługują na to poznanie, a co za tem idzie — na przejście stosunków czysto platonicznej grzeczności i sympatyi na pole realnego zbliżenia się handlowego i umysłowego... Ziemia zaś czeska jest tak piękna, iż mimowoli przyciąga oko; praca, skierowana ku wyzyskaniu naturalnych jej bogactw tak umiejętna i olbrzymia, iż mimowoli zastanawia umysł.



Czech włościanin z okolicy Domażlic.

Lecz jakkolwiek już w kronice Pawła z Puchowa z roku 1554, Czechy były zwane „spichrzem Germanii“, jakkolwiek na spisie dziesięciny dla papieża Klemensa III pomieszczono doborowy gatunek jabłek, świadczący o istniejącej już wówczas pewnej kulturze gospodarstwa domowego, jednak dopiero dzisiaj dane statystyczne mogą dać dostateczne pojęcie o ich zasobach, bogactwie i wytwórczości.

Tak statystyka gospodarstwa polnego i leśnego podaje zbiór owoców w przybliżeniu rocznie na 2,372,280 kl., wywóz roczny mleka przez sam Hamburg na 11,000,000 hktl., cyfrę łososi młodych na 5,570,116.

Zwierzostan oceniają na 1,631,000 złr., w tem dzikiego zwierza za 57,584 złr. Młynów jest 6,648, wartości 50 milionów złr.

Wśród cyfr przemysłu wielkiego spotykamy 143 cukrowni, 868 fabryk tkackich, czyli, że na produkcyę ich przypada więcej, aniżeli połowa całkowitej wytwórczości tkackiej w Austryi, chociaż na tem jedynem polu Czesi ustępują Niemcom: fabryki te przeważnie są niemieckie.

Dzienna wytwórczość piwa w 748 browarach wynosi 6,112,802 hl., czyli, że na jednego obywatela przypada rocznie 105 litrów!

Ztąd nic dziwnego, że Czesi na oko wszystko cenią i mierzą piwem.

— Tam a tam — powiadają — podoba mi się, tam a tam jest dobre piwo; tam a tam bardzo jest źle, tam podłe piwo, i t. d.

A gdy „rychlik“ — pociąg pośpieszny — podjeżdża do Pilzna i w oddali zaczernią się dymy jego browarów, kiepski to musi być Czech, co nie zdejmie czapki i głosem drżącym ze wzruszenia nie odczyta napisu olbrzymiego:

„Erste Pilzner Actien Brauerei“.

Nawet śród błogosławieństw narodowych, chóralnych, wspomina się o piwie:

Błogosławiony mąż ów
Co wymyślił piwo w dzbanie,
Ale ta przeklęta szelma,
Który pierwszy płacił za nie.

Sicut erat in principio
Et nunc et semper
Et in saecula saeculorum
Amen.

Co się zaś tyczy przemysłu drobnego, to i ten rozwinął się tutaj nader znacznie, dzięki tym wytworom, jakie natura dostarcza mieszkańcowi.

Na wzgórzach, któremi nieomal usiana jest ziemia czeska, szumią lasy zielone; śród nich 6.1°/₀ przypada na las liściasty: buk, dąb, topole, olchę, lipę, kasztan, jawor. Od 130—350 mtr. nad powierzchnią morza idzie las iglasty w stosunku 81.7°/₀; dalej od 350—

1,400 mtr. w ogromnej liczbie krzaki. Lasu mieszanego przypada 12.2%. Obfitość drzewa wpływa na to, iż przemysł drobny, drzewny, pierwsze zajmuje miejsce pomiędzy innemi, lecz, niestety, z małemi rezultatami, tak, iż na jednego robotnika średnio dziennie przypada 45 kr. Wobec tego rozwijają się popłatniejsze wyroby z wosku, rogu, kości i t. p.

A kto nie może znaleść zajęcia u siebie w domu ,lub też w najbliższej fabryce, ten idzie na wyrobek do krajów ościennych i tam — kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy, czy to jako muzycy, cieśle, stolarze, murarze, rzemieślnicy wogóle — wszyscy pracują od świtu do nocy, aby na zimę powrócić do siebie i zebranemi pieniędzmi podzielić się z rodzeństwem.

Dużego zarobku i opieki dostarcza im Praga, którą Czesi nazywają, to matuchną swoją złotą, to oknem gotyckiem, rzucającem światło, lub mrok, na całą ziemię:

Patrz—Praga!... Wzrok się iskrzy, bada — Praga!
Ta nazwa, ach, to śpiew! A jego czar
Serca czeskiego bicie budzi, wzmaga,
I w głębi duszy rodzi tysiąc mar!...

Tak woła Światopluk Czech.

Kto jednak szuka miejsc zabawy swawolnej, lśniących od luster i złota, niechaj nie dąży do Pragi czeskiej...

Tu niema praterów, lasków bulońkich, niema przytułków nowożytnych, — Led i łabędzi nowożytnych: — tu myśl, tu proza życia i jego tragizm wycisnęła piętno i na budowlach sztywnych i na tem życiu szarem, powszedniem, roboczem.

Tu ludzie nie zwykli, jak owi mandaryni chińscy — z porcelany — zakładać ręce na brzuch opasły i, kiwając głową z uśmiechem sybarytów, wysuwać język na zabiegi innych: nikt nie oszczędza tu muskułów, nerwów i mózgu, bo tu jest środowisko nie słów banalnych, lecz pracy produkcyjnej dla jednostki i ogółu.

Stąd nie na ulicach, nie w kawiarniach i na bulwarach, nie pod gołem niebem, ale tam, gdzie ma siedzibę swoją i skąd rozlewa swe zdroje dobroczynne na kraj cały praca mrówcza — tam szukać trzeba szczegółów do sylwetki Prażan.

Tu owoce myśli społecznej, spółki, towarzystwa i kluby — tem są, czem gdzieindziej owe rozkoszne sztuki greckiej wytwory, albo owe cuda świata — piramidy, z tą jednak różnicą, że nie wznoszą się kosztem istnień tysięcy, bo przez nie dobrobyt, jako krew serdeczna, rozbiega się po organizmie narodu.

Błogosławiony kraj, który doszedł do zrozumienia, co znaczy praca organiczna i posiada ludzi zdolnych do takiej pracy i który używa jej nietylko w celu zaspokojenia potrzeb materyalnych!

A śród mnóstwa tych stowarzyszeń męzkich i kobiecych, mających na celu dobro ojczyzny swej, wyróżnia się środkami towarzystwo „Centralne Matice Szkolskiej'', mające za zadanie ochronę od wpływu germanizacyi przez budowanie szkół czeskich w miejscach zagrożonych, i następnie, tak zwane południowe, czyli ludowe Poszumowskie i północne .

Do jakiego zaś stopnia stowarzyszenia te wpływają na uświadomienie kraju, przekona się każdy, kto stanie przed gmachem Muzeum królestwa czeskiego, kto zajrzy do skarbów tu nagromadzonych drogą ofiar dobrowolnych i uprzytomni sobie, iż gmach ten został wzniesiony kosztem dwóch milionów złr.



Czeszka włościanka z okolicy Domażlic.

Położone w samym środku miasta, mówi ono i wspaniałą budową swoją i przepychem urządzenia i temi ofiarami, z których powstały zbiory, jak drogie są sercu czeskiemu te wszystkie okazy wspaniałe przyrody i pracy umysłowej, nagromadzone tutaj.

Muzeum owo to synteza uczucia i pracy czeskiej; to obraz naukowy, dostępny dla każdego, Czech — ziemi i narodu — we wszystkich przyrodniczych i duchowych objawach w czasach teraźniejszym i przeszłym i w swoim rozwoju historycznym i w przyrodniczem stanowisku.

Muzeum owo pomaga w krzewieniu wiadomości naukowych, pomaga do poznania siły i bogactw narodu, zbiera i wydaje podręczniki wiedzy, rozpowszechnia za pomocą wydawnictw peryodycznych miłość oświaty i t. d.

A skarbów tu nagromadzonych, które w szczególności są majątkiem członków założycieli, wogóle zaś narodu czeskiego, nie można ani sprzedawać, ani rozdzielać.

Wprawdzie istnieje jeszcze Muzeum przemysłowe, lecz zebraniem przebogatych zbiorów ludzkiego przemysłu tu nagromadzonych, poszczycić się może tylko jeden obywatel. Każdy wie, iż mowa tu o zmarłym wójcie Naprstku, który życie swoje, całą pracę tytaniczną, poświęcił temu celowi i Muzeum owo złożył u stóp Pragi...

Lecz nietylko pracowitość mrówcza pobratymców i ich ofiarność zasługuje na uwagę.

Bliższe poznanie warunków ukształtowania się dzisiejszej fizonomii duchowej, wieśniaka czeskiego w szczególe, a Czecha wogóle, jest niezmiernie zajmujące, jak ciekawy jest stan ducha człowieka, którego przez lata długie wszelkiemi możliwemi środkami wynaradawiano, a który, pozornie uległszy naciskowi, nagle zrywa się, płonąc silniejszą jeszcze miłością swej ojczyzny.

Czech jest owym cudownym zmartwychwstańcem, jest owym Łazarzem, okrytym ranami plugawemi, którego w środowisko ludzi zdrowych napowrót wprowadza jedno tchnienie dziejów.

Poznanie jego cierpień uczy, prócz wielu innych rzeczy, jak wielkiej odporności jest typ słowiański, typ dobroduszny, prosty a cichy, do fanatyzmu zakochany w swobodzie, typ, któremu miłość wolności przez długie wieki nie pozwalała na ukształtowanie się polityczne, a którego nawet tysiącletnie mieszanie się z rasą obcą, z ludem, zasad wręcz przeciwnych, brutalnym, dzikim instynktami a wyższym zbrodnią, w gruncie rzeczy nie zdołało odmienić.

Owa rasa obca, jak fatum, ciążyła nad chatą czeską. Od chwili tej, gdy związki małżeńskie panujących wniosły do kraju długi ogon niemieckich „burg frajlat'', rycerzy i panów, ciężar obowiązków, spadłych na barki prostego ludu, coraz większemu ulegał brzemieniu, aż wreszcie lud ten, z chwilą pogromu demokracyi w bitwie u Lipan, zupełnie był ujarzmiony, a później nawet przytwierdzony do ziemi.

Odtąd los jego jest straszny, odtąd datuje się owo karanie za wszelkie przewinienia robocizną nadkompletową, przyczem, w razie protestu, skarżący podlegał „słusznej'' pokucie.

A jak „słuszna'' ta kara wyglądała, pamiątkę tego można odnaleźć jeszcze i dzisiaj po dworach i piwnicach starych grodów i zamków. Dość wspomnieć tylko klatki, w których wtłoczony siłą wieśniak, dostawał nieraz obłędu, lub waryował.

Doszło do tego że ani dobytku, ani

dzieci, ani żywota, nie mógł nazywać własnym; że mając na uprawę swego gruntu jeden dzień w tygodniu — jeśli nie biegł na wysługi panu — nieszczęśliwy, biedny, w chwilach pilnej pracy nie znając spoczynku, ukradkowo, nocą, przy księżycu, lub też w dzień świąteczny, zaprzęgał się z żoną i dziećmi do pługa i orał oblaną własnym potem skibę. A za to przestąpienie przykazania Boskiego, jako zadośćuczynienie obrażonemu Bogu, znowu karany był robocizną na korzyść pana.

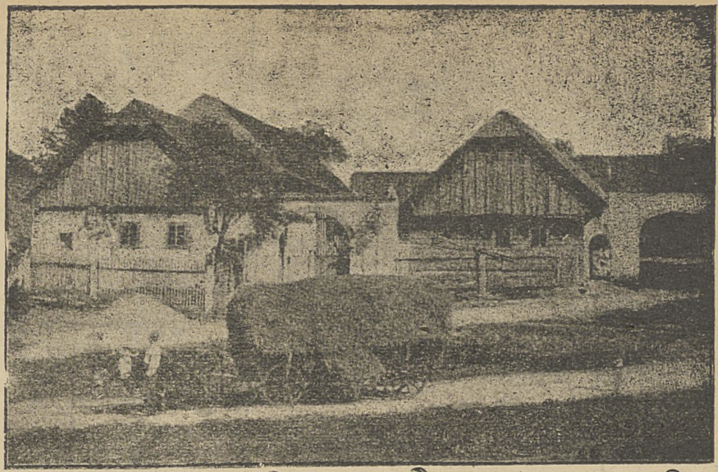
I czyż w warunkach podobnych obchodzić go mogły kierunki polityki, uchwały sejmowej i t. p.?

Taką to drogą z jednej strony, a z drugiej zastosowaniem całego systematu, czyhającego na ograbienie tej duszy biednej z ostatniego promyka, jaki w niej jeszcze kołatał się, wychowano w wieśniaku czeskim zupełną obojętność na sprawy narodowe i polityczne.

Bo gdy po najdzikszych, najohydniejszych i sięgających czasów odległych okrucieństwach, dzieło germanizacyi w królestwie Czeskiem, korzystając z haniebnego zwyrodnienia niektórych klas, wzmogło się do rozmiarów niebywałych, gdy szlachta, przedni księża, zniemczone mieszczaństwo, artyści, malarze, cały, tak zwany świat uczony, każdy wogóle, kto chciał być uważany za człowieka ucywilizowanego, zapominając o własnej mowie i własnej wogóle duszy został na wskroś Niemcem, wtedy przystąpiono do wzgardzonego „prostego ludu gminnego,“ aby zeń uczynić miły a wielki dodatek do „oświeconego a niemniej uszlachetnionego“ ciała niemieckiego.

Gwoli temu użyto kierunku ducha najwznioślejszego i najszlachetniejszego, kierunku oświaty i umiejętności, kierunku, który od wieków w całem społeczeństwie ludzkiem jest kwintesencyą tegoż ducha, aby doprowadzić go do niechybnej zguby. Czego nie dokazały szubienice i krwawe kaźnie, czego nie udało się głębokim, cuchnym, wilgotnym, mrocznym ciemnicom, czego nie zrobiło gromadne wypędzanie z ojczyzny, łupież domostw, pustoszenie całej ziemi, czego w przeciągu lat 150-ciu nie zdziałali, ani kat, ani wojsko, ani sędziowie, ani policyanci: — tego miały dokonać wzorowo urządzone, nowo powstałe szkoły, to poruczono wykonać — nauczycielom!

I rzeczywiście, szkoły te — normalne, grodowe i tak zwane ogólne — wyrzuciły z podwoi swoich wiele szumowin, ale za ich to przyczyną z łona tegoż ludu, tak ciemiężonego, — lecz już oświeconego, — wyszło nagle pokolenie nowe, w którem przyrodzona iskra poczucia narodowego wichrem wrogim rozdmuchaną była w ogień silnej, świętej i bohaterskiej miłości ku ojczyźnie. Za ich to przyczyną sprawa narodowości czeskiej stoi dzisiaj na takim piedestale, iż jest na podobieństwo owego kamyka małego, gdy stacza się z wierzchołka gór niebotycznych, ale u stóp tejże góry zamienionego już w lawinę straszną, niczem niepowstrzymaną, w szalonym pędzie swoim zasypującą wszelkie przeszkody, napotykane wsie, miasta i doliny, wogóle wszelki przeciw sobie opór.



Wieś czeska.

My neklesnem, my nezhynem — woła dumnie Jan Neruda —

My nesme vice sami.
A když ted' znowu k'předu jdem
Ide cely svet již z nami! —

Wyćwiczony umiejętnie w tychże samych szkołach, do których od roku szóstego obowiązany jest przychodzić, a które w ilości 5,198 o 14,480 klasach rozrzucone po kraju, rozlewają światło na całą ziemię w postaci 700,000 oświeconych dzieci, Czech dzisiejszy staje do walki w pełnym rynsztunku i boryka się z niebezpiecznym sąsiadem na każdem polu — ekonomicznem, lub umysłowem, a przedewszystkiem troszczy się o zachowanie w swych objęciach słowiańskich tej umiłowanej gorąco ziemi, co na podobieństwo okrętu wbija się w fale Teutonów i ponosi wściekłe ich napady.

A ta walka na śmierć i życie osaczonego ze wszechstron, oszalamia go nieraz do tego stopnia, iż często, być może, w obawie zagłady, gotów poświęcić i nawet zdruzgotać na ołtarzu tej miłości tysiączne inne względy i względziki, lecz któż będzie dziwił się temu lub potępiał za to?

Do jakiego zaś stopnia dochodzi w Czechach nienawiść ku Niemcom, mógł przekonać się osobiście piszący te słowa, mieszkając przez pewien czas na wsi, której jedna połowa należała do Czechów, druga do Niemców, a tylko wązki strumień oddzielał je od siebie.

Wieczorem, gdy psy poczęły ujadać po drugiej stronie:

— Oho, słyszy — pan — zawołała córka gospodarza — jak to Niemcy zaczynają rozmawiać z sobą!

Teodor Szabłowski.

Musisz być Polakiem.

I.

Można było kiedyś skakać,
Dziś płacze jęknęły,
Nawet ciężko już i płakać,
Piersi się zamknęły.

Radbyś może ptakiem zostać?
Nic! — Musisz być człekiem!
I Polaka dzierżyć postać
Musisz z trudnym wiekiem!

Bo inaczej kara Boska,
Nawet w grobie sięgnie,
Gdy ususzy cię wprzód troska
I do grobu wciągnie!

Praca twa niech z Bogiem wszędzie
O. Polskę się stara,



Czeska „Macierz szkolna.“ (Do artykułu „Nasi pobratymcy.“)

Polska z takich tylko będzie,
Gdy w nich będzie wiara,

II.

Chciałbyś lekko? — musisz ciężko!
Boś ciężko zawinił....
Gdyś inak nie chciał — to klęską,
Trza, byś się przemienił.

By złe później cię nie siekło,
A na zdrowie wyszło....
Przez otchłanie przejdź przez piekło,
By królestwo wzeszło!...

Chcesz być innym? (*) *— nim nie będziesz,*
Musisz być Polakiem!
Nigdzieć zdrowym nie usiędziesz,
A zginiesz Polakiem!

Więc Polakiem żyj ach dzielnym,
A nie ladajakim;
Żyj, mrzyj w Bogu — nieśmiertelnym!
Bóg cię chce mieć takim.

III.

Chciej, gdy płacze dookoła,
Każdy być Polakiem;
To dziś z jęków pieśń wesoła,
Wzleci białym ptakiem,
Lecz dzielnym Polakiem,
Co się zwie być takim!

P. L.

*) Cudzoziemcem.

Listy z nad jeziór mazurskich.

III.

(Zbór mazurski i ślady katolicyzmu. — Jutrznia. — Walka kleru z mazowszczyzną. — Sekciarstwo. — Apostół baptyzmu. — Z galeryi Mazurów.)

Jeszcze chwilę zatrzymam się przy mazurskim zborze.

Kwestya ta dla nas jako dla innowierców przedstawia niemały interes tem więcej, że w świetle jej ujawnia się umysłowy i kulturalny stan tego opuszczonego polskiego ludu.

Przy całej swej religijności Mazur jest wolnym od fanatyzmu wyznaniowego. Wprawdzie zaobserwowawszy u katolickiego Warmiaka odrębny zwyczaj nazwie go „katolickim“, gdyż do różniczkowania przyzwyczaił go ksiądz, z którego ust często słyszał takie przeciwstawienie. Atoli nie chce on przez to powiedzieć, że jest to złem, tylko że jest innem, warmijskiem.

Wielokrotnie poruszałem z Mazurami kwestyą wiary (do czego zresztą są skorzy), a nigdy nie napotkałem cienia niechęci lub wzgardliwości do katolika jako katolika.

Przeciwnie, sondując pojęcia Mazurów, przekonałem się, że i tu wieje właściwy ewangielikom Freigeist. Nieraz wygłaszali zdania zdumiewająco wolnomyślne a stanowisko ich wobec innowierców da się zamknąć w słowach:

— Jest mi wszystko jedno do jakiego kościoła należą, byle byli porządny człowiek.

Błędnem przeto byłoby mniemanie, że luteranizm stanowi chiński mur pomiędzy pruskiem Mazowszem a Polską, że katolicyzm wyodrębnia nas tak, iż Mazur nie zdolny rozpoznać w nas braci.

Przeciągnięci per fas et nefas na łono kościoła luterańskiego za inicyatywą księcia Alberta pruskiego (1525), który jako zagorzały krzewiciel nauk Lutra był nawet mecenasem polskiego piśmiennictwa, Mazurzy tylko sporadycznie tolerowali nieznaczne zmiany w obrządku i kościele. A że nie udało się to całkowicie dzięki przedziwnemu, granitowemu konserwatyzmowi chłopskiemu dowodem ołtarz w zborze szczycieńskim. W okolicach czysto mazurskich zbory noszą starodawne piętno katolicyzmu, który niemniej w wierzeniach ludu pozostawił wyraźne ślady. I tak Matka Boska figuruje często nietylko w kościele, ale i w chacie a pastor, któryby przeciw temu zaoponował, popadłby w podejrzenie jako niebezpieczny innowator i podkopał swe znaczenie.



Wyprawa panny młodej w Czechach.

Ołtarz przystraja lud w barwne wstążki i sztuczne kwiaty katolickopolskim a właściwie pogańskim obyczajem i jak ongi Jadźwingowie przy korowodach ofiarnych, okrążą trzykrotnie ołtarz. Nadto jak katolik całuje modlitewnik, odmawia litanie, świętom katolickim przypisuje pewne znaczenie a nawet odbywa pielgrzymki do Gieczwałdu. Wino mszalne i święcona woda w mniemaniu niejednego posiadają tę cudowną właściwość, że uśmierzają boleści wewnętrzne i leczą z chorób. Zdarza się nawet, że Mazurka zakupuje mszę w katolickim kościele za duszę zmarłej, drogiej sercu osoby.

O ładnej ceremonii kościelnej, którą przekazały średnie wieki i ówczesne widowiska dewocyjne opowiada dr. Zweck w swej znakomitej książce o Mazurach.*)

W pierwszy dzień „Godów“ czyli Bożego Narodzenia skoro jutrzenka zabłyśnie, dzwony zwołują lud do rzęsiście oświeconego kościoła. Przy ostatniej zwrotce pieśni zarannej wstępuje do kościoła dziatwa — chłopcy i dziewczynki w długich białych koszulach przystrojonych w kokardki, szarfy i wstęgi. Na głowach mają wieńce lub korony, w rękach gałęzie sosnowe i świece. Podczas gdy zebrani po-

*) Masuren. Eine Landes- und Volkskunde von dr. Alb. Zweck. Stuttgard. 1900.

wstają z miejsc, dzieci stają rzędem po obu stronach ołtarza i na przemian śpiewają nabożne pieśni, poczem przemawia ksiądz i hymn kończy ceremonią „Jutrzni.“

Dawniej spuszczano na linie chłopca z chóru, który śpiewał: „z wyżyn nieba, otóż idzie,“ lecz wskutek wypadku przy jednej okazyi zaniechano tego zwyczaju. Natomiast w niektórych kościołach spuszczano z pod sklepienia wizerunek anioła, gdyż, jak łatwo się domyślić, uroczystość ta uzmysławia przybycie aniołów do pastuchów betleemskich.

W ośmnastym wieku władze występowały przeciwko „Jutrzni“ zapewne idąc za podszeptem konsystorza, i druki oficyalne zapewniały, że obrządek ten zanikł. Tymczasem tak nie było: „Jutrznia“ jaśniała po kryjomu i w nowszych czasach władze, rozbrojone bodaj przywiązaniem Mazura do obyczaju ojców, pogodziły się z nim o tyle, że zrobiły zeń narzędzie germanizacyjne, zaprowadzając ceremonię tę w szkołach ludowych, gdzie obecnie, w dzień Bożego Narodzenia dzieci śpiewają: „Vom Himmel hoch, da komm' ich her.“ Przy tem podmuch biurokratyzmu pruskiego spaczył starodawny obyczaj, odejmując „Jutrzni“ jej pierwotny charakter ludowo-poetycki i zmieniając ją w banalny „akt szkolny“. Nowoczesny, bezduszny biurokratyzm często przybiera postać wroga piękna, kryje w zanadrzu niwelacyjne i wandalistyczne dążności, i w tym wypadku położył koniec procesyom biało obleczonej, umajanej dziatwy.

Władza duchowna od dawna usiłuje wykorzenić resztki śladów katolicyzmu z kościoła mazurskiego. Wszelako Mazurzy odznaczają się szczególną odpornością pod tym względem. Pamiętajmy, że nigdzie zaprowadzenie nauki Chrystusa nie spotkało się z takiemi trudnościami jak nad jeziorami mazurskiemi; potoki krwi broczyły ziemię w ciągu dziesiątek lat, tu padł ofiarą św. Wojciech, — tu miecze krzyżackie szczerbiły się o skałę pogaństwa a Mazur odziedziczył po Jadźwingach, Prusakach i innych słowiańskich mieszkańcach tej ziemi tę samą niezłomność, to samo przywiązanie do bożków, gdyż jeszcze w szesnastym wieku wzywał bóstwa praojców i składał im ofiary. Jakoż uporczywie stawia czoło nowatorskim zakusom kleru.

Zrazu kler, składający się z ludzi nieraz wątpliwej wartości i na domiar nie władający dość biegle językiem ludowym, był całkiem bezbronnym. Obecnie konsystorz ma podobno na swe usługi lepszy materyał: księży wykształconych i odznaczających się tym oficyalno-ostentacyjnym patryotyzmem czyli hakatyzmem, który tak popłaca w państwie pruskiem. Atoli mimo to trudno dopatrzeć się postępów.

W okolicach zniemczonych jak np. w Lecu zbór nie różni się niczem od kościoła protestanckiego w głębi Prus, tam zaś gdzie dominuje język polski, reforma ta musi postępować żółwim krokiem jeżeli nie można dopatrzeć się jej śladów.

Zakusy kleru paraliżuje też sekciarstwo, które zapuściło tu korzenie od pół wieku i znalazło podatny grunt. Pod względem kulturalnym wywiera ono niewątpliwie dodatni wpływ na lud, podnosząc poziom oświaty, przyczyniając się do wygymnastykowania tkanin mózgowych, do rozszerzenia skali pojęć i wyrobienia tej samoistności duchowej, która cechuje Mazura zarówno wobec księdza jak wobec innych.

Na ślad sekciarstwa natrafiłem podczas wycieczki w południową część powiatu szczycieńskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Roman Rola.

Kartka z minionej przeszłości.

Życie rycerskie i obyczaj rycerski przejęła Polska z Zachodu, nie wszystkie jednak formy życia tego rozwinęły się u nas z taką jaskrawością, jak to widzimy u innych narodów. Mowa tu o turniejach, które bezwarunkowo nie miały u ojców naszych tego znaczenie, co w całej Europie. Rycerstwo nasze umiało stawać na polu walki murem i okrywać się wiekopomną chwałą, potrafiło zatem, rzecz naturalna, popisywać się godnie i w szrankach turniejowych, jak o tem zresztą mamy wzmianki u kronikarzów zagranicznych, gdzie, np. na wielkich turniejach w Wiedniu i Paryżu w XV wieku, budziło podziw rzetelny swą siłą, odwagą i zręcznością, niektórzy zaś z jego przedstawicieli (dość wspomnieć o Zawiszy Czarnym) zyskali poczesne nawet miejsce na kartach dziejów rycerstwa świata całego. Nie szukali jednak szlachcice nasi umyślnie sławy na tem polu, jak to widać z wiadomości i wzmianek w źródłach dziejowych o zabawach rycerskich. Tych wzmianek o igrzyskach i turniejach pozostała ilość tak skąpa w porównaniu z tem, co spotykamy u innych narodów, iż na ich podstawie co najwyżej można skonstatować tylko, iż turnieje były urządzane i u nas, przytem bardzo rzadko. Dlaczego rycerstwo nasze nie tak podobało sobie w tej formie życia rycerskiego, objaśnić trudno; zdaje się jednak, że niechęć służenia bądź co bądź za przedmiot zabawy, grała w tym wypadku rolę najgłówniejszą. Swoi i tak wiedzieli dobrze, co są warci, zbyteczne więc były wszelkie popisy. Gdy jednak trzeba było pokazać tę wartość obcym, znajdowała się wtedy ochota, ponieważ tu chodziło już o honor narodu. Dlatego to rycerze nasi często i chętnie uczestniczyli w turniejach zagranicznych, w kraju zaś głównie tylko wtedy, gdy zdarzała się okazya do nauczki obcym przybyszom, aby zbytnio głowy nie zadzierali. Taki drobny przyczynek do dziejów rycerstwa naszego chcemy właśnie tu podać.

W roku 1454 zmarł Jakób z Kobylan, członek możnego rodu Grzymalitów, kasztelan gnieźnieński i starosta kujawsko-brzeski. W księgach grodzkich brzeskich notaryusz sądowy wypisał mu długi nekrolog. Pomiędzy innemi pochwałami oddaje mu cześć, jako prawdziwemu rycerzowi, sławi jego dzielność oraz bardzo szczegółowo opisuje walkę jego na dworze króla z jakimś znamienitym rycerzem, Anglikiem, który szukał w świecie, na turniejach, sławy i nagród. Nie poszczęściło się Anglikowi w Polsce: pobił go nasz Jakób, któremu został przyznany „honor militaris“ wraz z hojnym darem królewskim.

Zazwyczaj nekrologiści przesadzają zasługi zmarłych, tu jednak szczęśliwy traf pozwala stwierdzić, że te hymny na cześć Jakóba z Kobylan były istotnie zasłużone. W Lewickiego „Codex epistolaris s. XV, + — III, N. 74“, znajdujemy, że król Kazimierz zapisał w tym-że roku 1454, a więc wkrótce po śmierci Jakóba, klasztorowi Dominikanów w Brześciu roczny dochód dwóch grzywien, które mieli im wypłacać celnicy brzeskiego województwa. A uczynił zaś to król dla tego, jak mówi wyraźnie, że zmarły „potykał się dzielnie, zarówno w walkach z Tatarami, jak i w turniejach na dworze monarchy, ku sławie polskiej korony“...

Jak walczył Jakób z Kobylan z Tatarami, o tem prawią kronikarze, jak zaś na turniejach, opowiada wspomniany wyżej nekrolog, z którego odnośny ustęp w swobodnem tłomaczeniu z oryginału łacińskiego podajemy. (Księga. Brzeska II. p. 207—208):

„A gdy pewien nadzwyczaj dzielny i waleczny Anglik, którego czynów rycerskich sława po przez wiele krajów i ludów doszła nawet uszu królewskich, przybył na dwór króla Imci, Jakób z Kobylan, ucieszony jego przybyciem, wnet go zapytał, w jakim celu do nas zawitał. Po otrzymaniu odpo-

wiedzi, iż po to, aby znaleźć godnego sobie współzawodnika w walce turniejowej, na jakiego dotychczas nigdzie jeszcze nie natrafił, Jakób, za przyzwoleniem królewskiem, które łatwo otrzymał, gdyż król przekonany był, że siłą i walecznością nie ustępuje przybyszowi, stanął z nim do walki. Potykano się na topory bardzo długo bez żadnego rezultatu. Po małym odpoczynku walka zawrzała znów i ciągnęła przeszło godzinę, również bez widomego skutku; po krótkiej przerwie przeciwnicy spotkali się po raz trzeci. Gdy Anglik zaczął słabnąć nieco, kazał król zapaśników rozdzielić i przyznał obu „honorem militarem.“ Nie zadowoliło to szermierzy, którzy na drugi dzień znów stanęli w szrankach, by tym razem walczyć na kopie. Tu chełpliwemu Anglikowi fortuna wcale już nie dopisała: przeróżne fortele [illegible]kich zażywał, wobec sprawności [illegible]jomości rzeczy u przeciwnika zawiodły; w końcu wysadzony z siodła, złamał obojczyk i stał się do walki zupełnie niezdolny. Jakóbowi powtórnie przyznany został „honor militaris“, król zaś obdarzył go nad wyraz hojnie!“

Czy Anglik miał dość tych zapasów, czy też po wyzdrowieniu chciał jeszcze próbować — o tem dalszej wiadomości brak już z powodu wyrwania w książce następnej karty.

Dz.

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej *roku 1863-go*,

przez **B. M.**

(Ciąg dalszy.)

Po kilku dniach pobytu w Staszowie, podczas których oswoiłem się już nieco z mojem położeniem, oznajmił nam oficer, będący przy nas na karaule,[1]) że pułkownik Zwirów, dowódzca Galickiego pułku piechoty i naczelnik wojenny powiatu Stobnickiego, przyjdzie nas lustrować. Po południu zjawił się ten dostojnik i pozdrowił nasamprzód wojsko, które nas strzegło i za przybyciem jego wystąpiło pod broń. Sałdaty odpowiedzieli mu na to chórem, podobnym do bełkotania indyków. Wszedłszy do nas, wypytywał się każdego z osobna o różne bagatele, i odzywał się od czasu do czasu z różnemi zdaniami. Zastanawiali go szczególnie malcy, których było kilku między nami Jednemu powiedział: „A ty co tu robisz, smarkaczu?“ drugiemu: „I ty chcesz zbić Moskala! Patrz przecież to żołnierz stary, wytrwały, a ty?“ Prawiąc w ten sposób, zbliżył się do mnie.

— Jak wasze nazwisko? — zapytał mnie, a gdym mu je powiedział, zawołał:

— A wiem, oficer z wojska .....kiego?

— Tak jest.

— Wziąłeś pan dymisję?

— Wziąłem.

— Czyż nie lepiej byłoby panu, mając dymisję w kieszeni, pojechać do domu i siedzieć spokojnie?

— Właśnie dla tego wziąłem dymisję, żeby się iść bić — odpowiedziałem mu.

Świta pułkownika wpatrzyła się na mnie ze zdziwieniem, on zaś ruszył ramionami, na znak, że mnie albo nie pojmuje, albo żałuje, i odszedł. Jest to mężczyzna średniego wieku, słuszny i silnie zbudowany, wyraz twarzy i spojrzenie ma łagodne, w rażącej sprzeczności ze swojem nazwiskiem. Odpowiedź moja, jak się później dowiedziałem, zastanowiła go niemało, bo zwykle powstańcy tłumaczyli się, że przemocą zmuszeni byli brać udział w powstaniu.

Znajdowaliśmy się w Staszowie od dni dziesięciu, gdy nam doniesiono, że przybyło z Kielc dwie rot piechoty, które miały odprowadzić jeńców do tego miasta. Wiadomość ta niemile nas dotknęła, bo przyzwyczailiśmy się już byli do Staszowa, a w Kielcach, jako mieście gubernialnem, spodziewaliśmy się być zamkniętymi w więzieniu, w którem mogliśmy być ściślej strzeżeni, aniżeli tu w stodole. Każden starał się wykręcić jak mógł od tych przenosin, udając chorego za radą poczciwych pań, które nas odwiedzały. Jeden dostał nagle bólu piersi, drugi zimnej febry, trzeci jakiejś nieustannej gorączki, słowem każdemu zdrowie przestało statkować. Mój kolega Monseu zachorował w skutek proszku na womity, dostarczonego mu z miasta. Mnie także traktowano tym specjałem, ale go nie przyjąłem. Byłem też w niemałym kłopocie, co zrobić z sobą, bo nie umiem udawać chorego. Nakoniec przyniesiono mi jakąś maść, od której miała mi się zrobić rana, łatwa do zagojenia. Ucieszony, począłem nią nacierać nogę, ale niestety! tarłem a tarłem dwie godziny w pocie czoła mojego, a rany jeszcze i śladu nie było. Rozgniewany rzuciłem maść i położyłem się spać, pewny, że mię nazajutrz do Kielc odprowadzą. Tymczasem kobiety, przyszedłszy mię rano odwiedzić i dowiedziawszy się o bezskuteczności owego smarowidła, pobiegły do miasta, porwały tam lekarza wojskowego, przyprowadziły do mnie i wyjaśniły mu, że wprawdzie jeszcze nie mam rany na nodze, ale mieć ją mogę. Światły eskulap uznał słuszność tego rozumowania, i kazał mię odstawić do lazaretu, właśnie w tej chwili, gdy transport jeńców był już ustawiony do dalszego pochodu.

Umieszczono mię w lazarecie w osobnym pokoju, w którym się znajdowało już czterech kolegów, między nimi Monseu. Ten ostatni rozchorował się był na prawdę, bo proszek na womity, który był zażył, okazał się zbyt skutecznym, nie tak, jak moja maść, którąby podobno i zjeść było można bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

Ledwie się przywitałem z kolegami, gdy wszedł za mną oficer, który mi kazał rozbierać się i kłaść do łóżka. Pomyślałem sobie, że kto się obiera grzybem, musi leść w kosz, i uczyniłem to, czego żądał, poczem zabrał mi rzeczy i wyniósł z sobą, a to, jak mówił, z obawy, żebym mu nie uciekł.

Teraz dopiero nieco wolniej odetchnąłem. Wygodne łóżko, czysta pościel, dobre cygara i wyborny wikt z miasta, przytem częste odwiedziny poczciwych mieszkańców, wszystko to uprzyjemniało nam niezmiernie pobyt w lazarecie. Lekarz odwiedzał nas codziennie dwa razy, felczery ciągle się koło nas kręcili. Wśród tego wszystkiego mogliśmy prawie zapomnieć, że jesteśmy w niewoli, gdyby nie ciągły widok żołnierza, stojącego przy nas na straży.

Stosunki miejscowe były tego rodzaju, że jak się zdawało, uwolnienie nasze nie było rzeczą niemożliwą. Przyjechał z Galicyi kuzyn jednego z kolegów, którzy leżeli w jednym pokoju ze mną, i zrobił nam nadzieję w tym względzie. Za parę dni był powtórnie w Staszowie, wraz z kilkoma innymi panami, robiono różne zabiegi, żeby nas wydostać, ale wszystko to zostało bez skutku, chociaż, jak się później dowiedziałem, cała rzecz polegała na tem, by od każdego z nas zapłacić po 25 rubli. Suma ta wydała się zbyt wielką.

Wśród tych starań, które się w końcu stały nadto głośnemi, przyszła wiadomość, że jenerał Czengiery z Kielc przybędzie do Staszowa. Nowina ta wpłynęła bardzo niekorzystnie na nasze położenie. Panowie, którzy przybyli z Galicyi, porozjeżdżali się czemprędzej, a nas symulantów z wygodnego pokoju przeniesiono do kordygardy wojskowej . Tu dopiero mieliśmy sposobność obznajomić się z prawdziwie moskiewskiem więzieniem. Brud, plugastwo, smród nie do opisania, a wśród tego wszystkiego, 22 sałdatów, zamkniętych tu za różne nierycerskie

---

[1]) Karauł, straż.

czyny, jak kradzież i t. p. oto widok, jaki przedstawiały dwie małe izdebki, każda o jednem okienku, szczelnie zamkniętem, jak gdyby mieszkańcy bali się, ażeby nie stracić odrobinę tej wódczanej i dziegciowej atmosfery, która ich otaczała. Na pryczach, pod niemi i na środku izby, pełno było słomy startej na proch, a na niej wśród najohydniejszego robactwa rozlegało się wszędzie pijane żołdactwo, stanowiące wybór tego wszystkiego, na co się zdobyć może armia moskiewska pod względem rozbestwienia i spodlenia. Nie zdołałbym opisać uczucia, jakie nas opanowało przy wejściu w tę smrodliwą jaskinię. Musieliśmy mieszkańcom jej zapłacić na samym wstępie za pozwolenie otwarcia okna, choćby na chwilę, i za ustąpienie nam kąta na pryczy. Zamieciono ten ostatni, o ile się zrobić dało, i przyniesiono nam świeżej słomy, a ponieważ noc już była późna, pokładliśmy się spać — jednak napróżno. Krzyki, granie w karty i ciągłe z tego powodu bójki — pijatyka, chociaż sałdatowi w areszcie nibyto pić nie wolno, wszystko to połączone z opisanemi powyżej dogodnościami, odejmowało nam sen i zaledwie o 4-tej godzinie rano, gdy się trochę uspokoiło, zdołaliśmy usnąć.

Nazajutrz prosiliśmy oficera karaulnego, żeby się nam postarał o inne jakie więzienie. Przyrzekł nam to chętnie, ale dopiero po trzech dniach przeniesiono nas do małego pokoiku, znajdującego się w tej samej kamienicy. Pokoik ten, a raczej komórka, służąca dawniej do przechowania maglu i innych sprzętów domowych, wydała nam się rajem po owym pobycie na odwachu. Mając już dużo znajomych między oficerami, żyliśmy z nimi dobrze i doświadczali od nich wiele grzeczności; dwóch wyższych oficerów zaprosiło nas na herbatę, my nawzajem odbieraliśmy od nich częste wizyty. Tymczasem przywieziono 40 świeżych jeńców z oddziału żandarmeryi narodowej, będącego pod dowództwem Bogusza. Byli to sami młodzi ludzie, bardzo tęgiego charakteru. Odznaczał się między nimi szczególnie niejaki A. z Kongresówki. Ten ostatni nie został schwytany z bronią w ręku, ale aresztowany po drodze, mimo najlegalniejszego paszportu, pod pozorem, że musi być kurjerem rządu narodowego.

Przyjechał na koniec jenerał Czengiery. Na jego cześć odbyła się wielka parada wojska, której naturalnie nie widzieliśmy. Następnie przyszedł nas odwiedzić, otoczony wielką świtą. Jest to mężczyzna słuszny i otyły, twarz ma dosyć przyjemną, włosy już w większej połowie siwe. Urodził się na Litwie, jest religii rzymsko-katolickiej i bardzo dobrze mówi po polsku. Na samym wstępie zadawał każdemu z nas pytania: — Zkąd ty? Jak się nazywasz? Z jakiej bandy? Każdemu, który był z oddziału Bogusza, powiedział krótko i węzłowato: „Będziesz wisiał!“ Zbliżył się potem do p. A., którego znał z Kielc.

— A pan co tu robisz?—zapytał go.

— Jechałem spokojnie bryczką, w tem nadeszło wojsko i aresztowało mnie.

Pułkownik Zwirów wspomniał o podejrzeniu, ciężącem na p. A., który trzeba wiedzieć, był jeszcze bardzo młodym. Jenerał, obracając się do Zwirowa, powiedział po moskiewsku: — I takim smarkaczom, jak ten tu (wskazując na p. A.) powierzają sprawę narodu! Ja też w Kielcach mam jednego takiego. Królikowski! Naczelnik miasta! Potem obracając się do p. A. dodał:

— Smarkacze! a uczyć się! On będzie wisiał, ty będziesz wisiał! Obydwa mi się zaraz do wszystkiego przyznacie. O! mam ja dobre środki inkwizycyjne w Kielcach! Zbliżył się potem do mnie i zapytawszy mię o nazwisko, kiwnął głową i odszedł. Na drugi dzień wyjechał napowrót do Kielc.

Środki inkwizycyjne, o których wspomniał Czengiery, nie okazały się skutecznemi, tym razem przynajmniej. P. A. odstawiony do Kielc, wkrótce wyszedł na wolność, i niczego mu dowieść nie mogli. Ów zaś Królikowski, student z gimnazyum kieleckiego, który według zdania Czengierego miał być naczelnikiem miasta, uległ całej surowości moskiewskiej procedury śledczej. Dano mu 120 batów, ale nie przyznał się do niczego. Przyprowadzono go przed Czengierego.

— Więc ty nie byłeś naczelnikiem miasta? — zagadł go jenerał. Powiedz szczerą prawdę, ja ci nic złego nie zrobię.

— Nie byłem nigdy naczelnikiem — odpowiedział. Ja taki młody; gdzieżby mi powierzyli urząd tak ważny!

— No, chcę ci wierzyć. Zresztą ukarałem cię jak ojciec syna, nie prawdaż?

Trudno było zaprzeczyć temu patryarchalnemu zdaniu, chociaż owa kara ojcowska wystarczyłaby dla dziesięciu synów. Za dwa tygodnie Królikowski został uwolniony, i chodził dalej do gimnazyum. Co się tyczy żandarmów z oddziału Bogusza, żaden z nich nie został powieszony, mimo pogróżek jenerała. Muszę wyznać, że ten ostatni wogóle nie wydał mi się tak złym, jak go sobie wyobrażałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Łabędzie.

W zaklętym duszy mej ogrodzie
Baśń czarodziejskie pasma winie — —
— Po nieruchomej ciemnej wodzie
Para łabędzi zwolna płynie.

Nie żłobiąc piersią wodnej skiby
Bez zmarszczki fali jakby senne,
Płyną po wierzchu gładkiej szyby,
Pod którą głębie śnią bezdenne.

Płyną po cichych wód roztoczy
W oddali zmierzchu coraz bledsze
A w ślad za niemi biegną oczy
Przez rozsrebrzone w dal powietrze.

I chociaż wiem, że w nocną głuszę
Powrócą znowu w jaśń księżyca,
To przecież w moją smutną duszę
Schodzi ból dziwny i tęsknica. — —

— — — — — — —
— — — — — — —

W zaklętym duszy mej ogrodzie
Baśń czarodziejskie pasma winie — —
— Po nieruchomej ciemnej wodzie
Para łabędzi znowu płynie.

Lecz choć się srebrzą nad głębiną
Radość mych oczu nie rozświeca,
Bo wiem, że znowu w dal odpłyną,
Ze znów powróci ból — tęsknica...

Józef Derwicz.

W Leżajsku 1903.

NA ODLOCIE.

Jest na północy kraina ogromnie dzika, bogata jeno w torfiska, bagna, ostrowy i kępy przesiąkłe wodą. Świat to zimny, strasznie posępny — ojczyzna ślimaków wodnych, ryb, szczeżuj, pijawek, płoszczyc, nartników, pluskolców i innych dziwolągów, którym woda lubuje. Trawy szorstkie, brudno-zielone, tną tu za dotknięciem i rzeżą jak noże. Rząsa, czerwień, błotnica, sity, trzciny, tataraki bujnie rosną na tej glebie. No i gdzieniegdzie — rokicina albo krzak olszyny.

Tutaj na jesieni zebrały się w jedno stado rodziny liczne żórawi. Stawili się starcy leciwi, choć jeszcze dostatecznie lotni. Przybyli wodzirejowie drużyn, jarzy, zamaszyści, w sile wieku. Matki troskliwe przyleciały z młodzieżą, latoś wylęgłą w gniazdach i rokującą nadzieje świetne. Właśnie wiec pełnej wagi nadzwyczajnej miał stanowić o losach rzeczypospolitej.

Bo oto ziemia, ojczyzna luba gniazd żórawich, poczęła stygnąć, obumierać i zapowiadać niedostatek środków do życia. Trza iść w świat, szukać kawałka chleba! Hej, kto w Boga wierzy, radźże, jak to zrobić! Ej, co tam! Wiec żórawi ma mędrców radzieckich, zdolnych rozstrzygać, którędy, dokąd należy podążać i jacy wodzowie poprowadzą stada pątnicze.

Czas schodził i coraz nowe drużyny swojaków — każda z wodzem na czele — przylatywały od wschodu, od północy dalekiej. O, wielu, wielu jest żórawi rozrzuconych po świecie szerokim! Ale jeden obyczaj, jedna myśl ożywia wszystkich rozpierzchłych i jednoczy. Teraz, na jesieni, wszyscy bez wyjątku — ktokolwiek przebywa w tych krajach — stają jak jeden do narady wspólnej.

Gwarno było dokoła zastępów sejmujących. Opodal stado gęsi, zgromadzonych także w celach odlotu, wiecowało wśród szumu, plusku i okrzyków gęgliwych, towarzyszących każdej uchwale zapadłej.

Czajki, jako ptaki niesamodzielne, poderdując i chichocąc, oczekiwały, co też postanowią bądź żórawie, bądź gęsi. Po co układać plany podróży odległych, skoro można za ogonami innych polecieć, choćby na skraj świata?...

Kaczki dzikie z właściwą sobie obojętnością na wszystko, co nie jest żerem, gorliwie przetrząsały wody i zarośla. Niektóre z nich, już nasycone, wybuchały krzykiem namiętnym: — „Tak, tak, tak!“

Kurki zielononogie wyprawiały się wieczorami po dwie, po trzy, na piechotę w podróż za granicę. Ciekawy sposób pielgrzymki: chyłkiem od rowu do rowu....

Bekasy długodziobe w różnych porach dnia, po krótkiej naradzie, odlatywały rodzinami ,skrzecząc marudnie: — „Chce się jeść!“ Tłustsze zostawały do czasu w nadziei, że, poszcząc, stracą sadło i wtedy dopiero odlecą.

Nury srebrzyste pływały w milczeniu na wodach większych, chełpiąc się z swoich czubów, trzepocąc skrzydły małemi. — „My tam nie zamierzamy szukać wiatru po świecie!“

Czasem orzeł przeleciał nad okolicą i napędził wszystkim strachu. Innym razem lis, mimo straże czujne, zapolował z powodzeniem na gąskę pogrążoną w marzeniach sennych. Jakiż to wstyd dla gąsiorów!...

Nareszcie drużyny żórawie przestały nadciągać: zebranie było pełne, więc mogło wydawać uchwały prawomocnie obowiązujące. Przeplatano sobie mozolne zajęcia życia obywatelskiego igrzyskami publicznemi: były to popisy zręczności i siły cielesnej, wyprawiane w powietrzu albo na ziemi. Występował naprzykład wesołek jaki obrotny coram publico, wyginał szyję nadobnie i w podskoku raźnym dosięgał głową ogona. Niebawem zjawiali się inni, otaczali go kołem, podskakiwali, kręcili się w kółko na jednej nodze, machając skrzydłami. A nie, to najsprawniejsi wylatywali w podniebie tak wysoko, że tylko oko żórawie mogło ich dojrzeć, i tam naśladowali gonitwę orłów.

Swoboda ruchów, siła i gibkość ciała budziły podziw w gromadzie. Czyste igrzyska olimpijskie!

Rozrywka krzepiła umysły ptaków radnych, a przeto ważne uchwały wiecowe żwawo posuwały się do kresu. Przedmiotem sporów najgorętszych była droga, którą zamierzano przebyć. Wszystkie bowiem drogi prowadzą „na wyraj“, ale jedna jest najkrótsza. Ptacy starsi, doświadczeni, wielce przezorni, doradzali podróż bezpieczniejszą — o ile można — ponad lądem stałym: w razie potrzeby ma się zawsze pewny punkt oparcia pod stopami. Młodzi, junacy zuchwali, zapaleńcy niecierpliwi, przekładali podróż ponad-morską, pełną trudów i — na wypadek burzy — ogromnie niebezpieczną. Z pierwszymi połączyli się ptacy lękliwego serca i młodzież, która uległa usilnym namowom matek, dbałych o losy potomstwa. Każdy, kto czuł w sobie odwagę, pochop ku doświadczaniu przygód nadzwyczajnych, stawał po stronie przeciwnej. Jednem słowem, cała tężyzna żórawia znalazła się pod sztandarem z hasłem „morze“. Starcy przedrwiwali ich, mianując kaczkami.

Że atoli tak drogi lądowe, jak i morskie, są też rozmaite, przeto w owych dwóch obozach głównych pojawiły się znowu różnice zdań, odcienie stronnictw. I oto wielka moc żórawi rozpadła się na drużyny pomniejsze, które — każda pod swoim wodzem — obradowały już oddzielnie. Jednomyślni co do celu głównego, różnili się tylko co do środków...

Miano już wyruszyć i każdy przygotował skrzydła, gotowe do odlotu na znak dany przez wodza. W tem od stepu, z poza bagien, zabrzmiał jakiś chrapliwy głos żórawia. Cała gromada zwróciła oczy w tę stronę. — „Widocznie spóźnił się na wiec jeden z panów braci!“ Nie długo czekano na przybysza osobliwego. Ptak, nawpół biegnąc, nawpół lecąc, z wrzaskiem żałosnym, tęskliwym, przedzierał się do swoich przez bagna. Stanął między nimi i wszyscy starsi wiekiem natychmiast go poznali; jeno, nieskorzy coś do powitania, zdawali się wzrokiem zdziwionym wyrażać myśl taką:

— Jakże zmieniony, niepodobny do siebie!

Był to starzec zgrzybiały, niegdyś powszechnie znany z dzielności junak nad junaki, hetman mnogich wypraw zamorskich, strażnik pieczołowity i rajca mądry gromady żórawiej, pradziad pokoleń licznych. Stanął wobec i głosem drżącym ochrzypłym, w którym się odbijała boleść i rozpacz, powitał zgromadzenie. Miał jedno oko wybite, drugie bez blasku, jakby mgłą białawą powleczone. Brakowało mu górnej połowy dzioba, a skrzydła wystrzępione i opuszczone prawie się wlokły po ziemi. Nogi, z pazurami do cna startemi, gięły się niedołężnie pod ciężarem ciała. Widmo straszliwe z tamtego świata, nie żóraw, dzielny wódz rzeszy!

Słońce i gwiazdy oznajmiły mu, że o tej porze gromada rodzima wiecuje w sprawie odlotu. Z pustyń odległych, z stepów północy dalekiej pędzi kaleka dniem i nocą, aby się stawić na sejmie, a potem lecieć daleko z swoimi.

Teraz widział, że uchwały wiecowe już zapadły: on znał tak dobrze cały ich przebieg. Więc zbliżył się do hufca, który właśnie przedsiębrał wyprawę nadmorską, najzuchwalszą. Chciał przez to powiedzieć:

— Bracia, i ja polecę z wami!

Junaki boże z politowaniem spojrzały na starca, a wódz ich krewko poskoczył i odgramiał, odpędzał wiarusa od gromady.

— My polecimy rączej orłów, a niedołęstwo upośledzi i może opóźnić nasz polot. Nie z nami, starcze, nie z nami!

Gabał potem drugą, trzecią, dziesiątą drużynę i każda dawała mu odprawę bardzo surową.

— Przeżyłeś już swoje, sterałeś siły i, syty sławy, wyczekuj śmierci na barłogu ojczystym! Po co ci tułać się, szukać w świecie jeszcze więcej guzów i ginąć kędyś za morzami? Zostań tu; głód i zimno przyjdą niebawem, dobiją cię spokojnie.

Stary załkał. Hasła odlotu padły. Szum skrzydeł, granie cudnej pieśni żórawiej przeszyły powietrze. Jakże dobrze jest lecieć i śpiewać w gromadzie!

Właśnie na niebo błękitne bez skazy wychodził księżyc i pierwsze gwiazdy. Drużyny odlatywały na różne strony w szeregach długich, stykających się pod kątem ostrym. Żóraw stary pozostał samotny, wyciągnął szyję, rozpostarł skrzydła, wydał okrzyk rozpaczy przenikliwy i biegł, biegł nieustannie, spoglądając w górę ku swoim, wrzeszcząc w niebogłosy.

Cóż, kiedy biedny nie mógł wznieść się do lotu!

Wypadł na bagniska, pędził przed siebie, aż ugrząsł w błocie i padł na piersi, zranione tęsknicą srogą, zbolałe przez sroższą jeszcze nużę żywota. Klucze żórawi ukochanych zniknęły mu ze wzroku, ich granie brzmiało jeszcze w uszach.

Bekasy skrzeczały po bagnach, gęsi gęgały wrzaskliwie, kaczory trąbiły grubo, czajki, chichocąc, zrywały się do odlotu, nury uroczyście snuły się po zwierciadłach wodnych. Księżyc oblewał światłem okolicę.

A hetman stary żórawi, ugrzęzły w błocie, spokojnie wyczekiwał śmierci.

Któż tam z mających cele życia dba o starca, będącego na schodzie żywota?

Adolf Dygasiński.

SEN.

Fantazya.

Błękitna ampla miękkie rzucała światło na pokój. Spokojnie i cicho w nim było, tylko czujne ucho mogło pochwycić lekki szmer dwóch oddechów: dziecka, śpiącego w kolebce i matki, leżącej obok na szezlongu.

Był to pierwszy dzień, że wszyscy w domu lżej odetchnęli. Lekarze na konsylium stwierdzili kryzys. Od dziś dziecko powinno powracać do zdrowia, a ten sen jest dobrodziejstwem.

Po dziewięciu bezsennych nocach po raz pierwszy z ulgą w sercu odważyła się matka spocząć, ale nerwy młodej kobiety były tak przez ostatnie chwile naprężone, że sen nie może skleić jej zmęczonych powiek, zamyka oczy, znów je otwiera i coraz to spogląda na ubóstwianą dziecinę. Słodka bezwładność ogarnia nią całą, ale słyszy wszystko i widzi, nie chce się tylko poruszyć. Leży tak i marzy... Ale co to?... Portiera się poruszyła, rozsunęła się... Na progu ukazuje się wysoka postać kobieca, posuwa się wolno, spokojnie, ale z pewnością siebie, ledwo dotykając miękkiego dywanu i staje u wezgłowia kolebki. Postać piękna, w bieli, oblicze jej jasne, jak poranna zorza, bije od niej światło różowej jutrzenki.

— Ktoś ty? Pocoś tu przyszła? — usiłuje zawołać młoda matka, ale głos jej więźnie w krtani i ledwie dosłyszalnym szeptem z ust wychodzi.

— Pocoś tu przyszła? Coś za jedna? Nieznajoma się uśmiecha.

— Poco przyszłam? Czy nie wiesz, że idę zawsze tam, gdzie chcę, a wszędzie jestem pożądanym gościem. Jestem — życie. Czyś nie widziała, jak przez całe dziewięć dni stałam u wezgłowia twego dziecka, strzegąc go od mej siostry?

— Twojej siostry?

— Tak. Nie znasz jej? To — śmierć! Jesteśmy siostrami, ale i wrogami zarazem. Raz ja zwyciężam, raz ona — w wiecznej naszej walce, a ta, która spostrzeże, że zwycięztwo jest na przeciwnej stronie, ustępuje i odchodzi. Ja pierwsza przybyłam do twego dziecka, gdy ono na świat przyszło, siostra się spóźniła, więc odeszła.

— Więc tyś życie! Jakże wdzięczną ci jestem za ocalenie dziecka mego!.. Ale co to?... Ktoś się jeszcze zbliża! Wszyscy idą ku tobie, okrążają cię... Patrz!...

Młoda kobieta z przerażeniem patrzyła w głąb pokoju, zkąd wyłaniały się jedna za drugą różne postacie, niby kołyszące się cienie, to świetlne, radosne, to ciemne, złowrogie...

— Czego oni tu chcą, po co idą? Boję się... Odpędź ich!

Nieznajoma znów się uśmiechnęła.

— Odpędzić ich nie mogę, chodzimy zawsze razem i kto mnie przyjął, przyjąć musi i moich towarzyszy. Wszystko to są dzieci moje, części mojej istoty. Dużo ich, to prawda, a tak niepodobni do siebie...

Patrz! Oto radość, a to smutek, tu nędza, a tu za nią szczęście, tam dalej występek, obok niego cnota. Dużo ich bardzo, a wszyscy stanowimy jedną rodzinę, jedną całość. Siostra moja, śmierć, chodzi zawsze sama. Chcesz, ustąpię jej miejsca? Myśmy niespokojni, hałaśliwi, ona zaś cicha, spokojna.

— O, nie, nie, błagam cię, nie wołaj jej, zostań, zostańcie wszyscy, ale jej nie wołaj! Niech ona nie przychodzi jaknajdłużej, a jeśli kiedy przyjdzie, to po mnie, a nie po tych, których kocham, którzy mi są drodzy.

— Uspokój się! Siostra wie, że ja tu jestem i nie odważy się przybyć.

Młoda kobieta uspokoiła się powoli i już bez poprzedniej obawy wpatrywała się w tłum widm, które, jak cienie, przesuwały się w błękitnem świetle pokoju.

Wpatrując się w te mgliste kontury, zaczęła powoli rozróżniać oddzielne postacie: radosną, uśmiechniętą twarzyczkę młodej dzieweczki, prawie dziecka, obok niej ponure, zmarszczone oblicze starca, bliżej, prawie na przodzie stał piękny młodzieniec z jasną, pogodną twarzą i otwartem czołem, wsparty na ramieniu młodej kobiety o stanowczem, śmiałem wejrzeniu i postawie w całej postawie...

Między niemi, wijąc się, wyślizgując, przeciskał się niewyraźny cień, który to znikał, to się znów ukazywał, mały, ledwo widzialny, nagle wydłużał się, rósł ponad inne, owijał je sobą i znikał, aby w drugiem miejscu znowu nagle wypłynąć.

— Kto jest ten niespokojny cień? — zapytała młoda kobieta nieznajomą.

— To występek. Najniespokojniejszy z moich dzieci. Stara się lgnąć do wszystkich, ze wszystkiemi się zbratać i tylko ci dwoje oto — ta młoda kobieta i ten młodzieniec, mają nad nim władzę i hamują jego natrętne zabiegi.

— A cóż oni za jedni?

— Rozum i silna wola.

— Czyż brak ci władzy do zgnębienia, zniszczenia wszystkich twych złych towarzyszy: występku, nędzy, smutku?

— Zapominasz, że jestem życie, że nic nie niszczę, że dokoła mnie wszystko żyje i dobre i złe, i nic nie ginie.

— W takim razie przyrzeknij mi, daj mi słowo, że dziecku memu przyślesz tych tylko towarzyszy, którzy mu przyniosą szczęście, a oddalisz odeń wszystko złe i zgubne.

I z błagalnym wzrokiem młoda matka wyciągnęła rękę ku nieznajomej.

Ale ta pokiwała smutnie głową.

— Nie zależy to odemnie. Wszak widzisz, jak się oni tłoczą, zmieniają miejsce, spychają jedno drugie; tak było i będzie zawsze. Syn twój powinien sam umieć wybierać tego lub owego z towarzyszy i potrafić go zatrzymać przy sobie.

— Ale jak dojść do tego? Proszę cię, naucz... My, ludzie, tak jesteśmy ciemni, że często sami nie wiemy, czego chcemy ,sami odtrącamy od siebie to, co dla nas zbawienne, i idziemy na spotkanie tego, co nas gubi. Miej litość nad biedną matką, wskaż, jak mam dziecko ratować, jak chronić go od nieszczęścia. Błagam!

— Żal mi cię!... Spróbuję uczynić to, co w mojej mocy, ale daj mi słowo, że nic ponad to nie będziesz żądała.

— Przysięgam ci!

— Za towarzyszy dam dziecku twemu oto tych dwoje: rozum i wolę. Nauczą go wszystkiego, jeśli będzie ich ślepo słuchał. Rozum i wola, są to najlepsi towarzysze człowieka. Będą twe dziecko ochraniać, z niemi nigdy nie popełni błędu, nie wybierze tego, co mu na złe wyjść może. Czyś zadowolona?

— Dziękuję, dziękuję, ale...

— Cóż jeszcze? — z zachmurzonem czołem zapytała nieznajoma. — Wszak dałaś słowo, że o nic więcej prosić nie będziesz...

— Nie gniewaj się, nie proszę, ale tylko... rozum... jeden rozum i wola... to zbyt chłodne, zbyt obojętne, zbyt okrutne... A serce? Jakże z sercem... Czyż nigdy nie powinien go słuchać? Wszak rozum tak często bywa w rozdźwięku ze szlachetnemi popędy, z miłością, dobremi uczynkami...

Nieznajoma wzruszyła ramionami.

— Hm! Jeśli tego żądasz, w takim razie niech twój syn sam w świat idzie, niech sam sobie drogę toruje, a od ciebie będzie zależało nauczyć go rozróżniać złe od dobrego, zrównoważyć serce z rozumem, dać mu poznać mnie i moich towarzyszy!... A teraz, żegnam cię!

I tymże wolnym, poważnym krokiem wyszła z pokoju. Widma poruszyły się, zlały w jedną masę i jak gęsta mgła znikły w głębi pokoju.

Młoda matka z silnem biciem serca obudziła się ze snu i długo nie mogła zdać sobie sprawy z tego, czy spała, czy widziała to wszystko na jawie. Łagodne błękitne światło zalewało pokój, cisza panowała dokoła, przerywana równem tchnieniem dzieciny...

— Śpij, moje maleństwo, śpij mój skarbie! — czule wyszeptała — niech życie daje ci za towarzyszy rozum i wolę, a serce... sercem ja cię obdarzę.

Inez.

Iskierka.

Zkąd się wzięła ta iskierka mała,
Darmo pytać,—nie znam pochodzenia.
Może z szarych popiołów powstała,
Może z ofiar lub z całopalenia,

Może w zgliszczach się tliła żarzewiem.
Zkąd się wzięła? doprawdy ja niewiem.
To wiem tylko, w przeszłość patrząc własną,
Licząc nuty, co w piersiach mi grały,

Że są iskry, co nigdy nie gasną,
Choćby wichry jak największe wiały,
Choćby srogie przechodziły burze...
Iskry takie toczą kręgi duże

I pod pierwszą spotkaną szczeliną
Przygasają, lecz całkiem nie giną...

Zkąd się wzięła ta iskierka Boża,
Darmo pytać,—nie znam rodowodu,
To wiem tylko, że wschodząca zarza,
W stronę której dążymy za młodu,

I dziś jeszcze w lat dalszych pomroce
Takim samym rumieńcem migoce
I zamienia wśród codziennych bolów
Szare strzępy na purpury królów.

To wiem tylko, że w zwątpień powodzi,
W dolegliwym dla ducha frasunku,
Iskra taka nieznaną moc rodzi,
Co pomaga trwać na posterunku

I rozpala miłość niespożytą
Hen daleko! ku brzaskom i świtom.

Bol. Sz. Wol.

ZBAWCY.

(Dokończenie.)

Powietrze stawało się możliwszem do oddychania. Zobaczyłem najprzód trochę, potem więcej światła. Żelazne dzidy, drewniane sztylety, kawałki materji, szklanne noże, dokoła mnie niezliczone, czarne, żółte, czerwone, zagrażały mi ze wszystkich stron. Poznałem wówczas nowy rodzaj strachu na myśl, że trzeba będzie wyciągnąć mię przez tę kratę o tysiącu zębów, i że tego nie będą mogli inaczej zrobić, jak tylko drąc mię kawałek po kawałku...

Światło wnikało coraz więcej. Wnikało zanadto. Widziałem za wiele. I tak, zostałem zmiażdżony pośród tych rzeczy i żyłem! Wydało mi się to teraz niemożliwem, głupiem — ah! co chcecie, odchodzi się od zmysłów! — zacząłem znów wątpić o mojem życiu.

Nagle dach ustąpił i zawalił się pod wysiłkami robotników i znalazłem się w pełnem świetle . Ludzie ukazali się prawie tuż nademną.

— Tutaj!

— Słyszysz Józefie? — odezwał się jeden głos.

— To nic! — odpowiedział drugi.

Na szczęście odzyskałem tyle przytomności, że mogłem pomyśleć:

— Jeżeli będę wołać ,to zaczną mię zbyt pospiesznie wyciągać i zmasakrują mnie. Zaczekajmy, niech uprzątną.

Zamilkłem.

Zbawcy, rzeczywiście uprzątali, zobaczyłem najprzód ich grube buty. Następnie zobaczyłem rękę czarną i silną. Zobaczyłem także siekierę i drążek żelazny, a w końcu ramię z ręką otwartą.

Ręka krążyła powoli, ostróżnie jakby szukając. Śledziłem ją mojemi oczami. Przesunęła się koło mojej twarzy. Nie odezwałem się. Ręka błąkając się, natrafiła głowę młodego dziewczęcia opartą na mojem ramieniu....

— Mam!

— No?!

— Gąska!

Czarna ręka, jak olbrzymi pająk, chodziła po głowie biednego dziewczęcia i spuściła się do ucha.

— Ma!

Palce chwyciły kolczyk i rozerwały koniec ucha. Obróciły głowę i rozerwały drugie ucho. Znikła ręka.

— Sowa! Perły!

Wróciła ręka. Zagłębiła się między mojemi piersiami a biustem dziewczęcia i czułem w okolicy mego żołądka łaskotanie rąk nerwowych, które łowiły śpiesznie po omacku.

— Ma! Trzymam!

Damski zegarek przesunął się po mojej twarzy.

Ramię znów wróciło. Zabrano się do mnie, zaczęto przetrząsać. Wstrzymując oddech i udając nieżywego, wciągałem pierś, aby ułatwić im poszukiwania.

— Ten jeszcze ciepły!

Pomyślałem:

— Jeżeli się spostrzegą ,że żyję, uderzenie siekierą zmusi mnie do milczenia.

Zabrano mi pugilares, zegarek i pierścionek.

— Nie mogę się dostać do kieszeni! Za daleko!

— Niech go tam! Jeszcze tu jest dwoje!

Odkryli staruszka i jego żonę. Cztery ręce operowały trupy o metr odemnie.

— Chudzi biedaczyska!

Śmiali się wesoło. Ażeby wygodniej osiągnąć zdobycz, przyciągali zbawcy do siebie staruszków, przyczem spadł odłam porąbanego dachu, i trącił mię tak boleśnie, że nie mogłem powstrzymać się od krzyku.

— Słyszysz?

— Aha?..

— Widział nas!

— Łajdak!

— Możeby mu?...

— Nie. Chodź.

Poszli. Zlitowali się nademną i naraz uczułem dla nich prawdziwą wdzięczność. Ci ludzie, którzy mogli byli zabić mnie bezkarnie, darowali mi życie; wydali mi się zacnymi! Pogardzajcie mną jak chcecie! Ani chwili wówczas nie myślałem, że robili źle. Dziś wiem, że byli niegodziwi, okrutni; w pierwszej chwili jednak nic podobnego nie przyszło mi na myśl. Ach! kruchą jest bardzo moralność ludzka! Wiele to prawd i zasad zanika w nas w chwilach krytycznych! Mój instynkt zagrożonego zwierzęcia, wziął górę nad całem pojęciem złego i dobrego. Daleki od potępienia rozboju tych łotrów, błogosławiłem ich tylko za ich pobłażliwość!

Pogardzajcie mną. Odczuwałem o wiele mniej wdzięczności dla ludzi uczciwych, którzy potem przybyli i wyciągnęli mię z wagonu, nie dokonawszy **na mnie rozboju.**

Patrząc zaś na zwłoki uroczej dziewczyny, którą dzień przedtem pieściły moje oczy, nie powiedziałem nawet: „Szkoda jej!" Sam byłem uratowany!

Tł. Z. Kłośnik.

Czarny Bartek.

Szkic kredą.

—*—

Liczne osady polskich włościan w Brazylii istnieją od dość dawna. Nie miały one jednak pierwotnie tego charakteru, co obecnie, domki kolonistów rozrzucone były przeważnie około mieściny Thomas Coelho, na dość znacznej przestrzeni jeden od drugiego. Dziś z powodu walki konkurencyjnej o lepsze szmaty ziemi i wzrostu liczby wychodźców, stan skupienia polskiej i w ogóle słowiańskiej ludności wzrósł znacznie. Ci i owi potępiają w ostrych słowach kolonizacyę w Brazylii, nie podając jednak sposobów, czem ją można zastąpić, faktem jednak jest, iż żywioł polski i w ogóle słowiański, mają większą przyszłość w tym południowym kraju, niż w Stanach Ameryki północnej. W Stanach Ameryki północnej początki być może są łatwiejsze, tu nierównie trudniejsze ,lecz o ile ludność trzyma się w gromadzie, nie grozi jej taka walka konkurencyjna, jak w Ameryce północnej. Co prawda, o to trzymanie się w gromadzie i o pracę dla wspólnego dobra często bardzo nam trudno.

Opowiadanie nasze początkiem swoim sięga czasów tej pierwszej epoki, którą można mniej więcej oznaczyć rokiem 1870-ym.

W tym to czasie niedaleko Thomas Coelho, dość zamożną sadybę powstałą po wykarczowaniu lasu, posiadał Marcin Walczak, osadnik polski, przybyły wraz z żoną i dziećmi do Brazylii.

Synowie Walczaka pomagali ojcu w gospodarstwie rolnem, córka zaś matce przy domu.

Córka, Magda, dorastała właśnie, przeto z różnych osad polskich i włoskich przychodzili zalotnicy, prosząc o jej rękę. Magda jednak, ku zmartwieniu rodziny i polskich parobczaków... oszalała! Odrzuciła względy starających się o nią zalotników i zakochała się na zabój w Benicie.

Benito Negritto był to wielkiego wzrostu murzyn, czarny jak heban, wierny jak pies, silny jak niedźwiedź i uległy jak baranek.

Pomimo swej czarnej skóry, dał się lubić. Serce miał nadzwyczaj dobre i szlachetne, głos przyjemny. Zastępował słabych przy pracy, pilnował domostw osadników od napadu dzikich Indyan i wiele dobrych uczynków wykonywał, jedynie za dobre słowo. On to raz wyleczył brata Magdy od ukąszenia jadowitej żmii, pielęgnując go, jak własne dziecko w chorobie.

Magda zakochała się na zabój w tym czarnym człowieku i żadne perswazye nie pomogły. Chociaż zacny ksiądz Ćwieczek z Thomas Coelho upominał swoje owieczki, iż Bóg jest jeden, zarówno dla białych jak i czarnych, i perswadując, pobłogosławił w kościele ślubnemu związkowi Magdy i Benita, w sadybach osadników zawrzało.

Nie mogli ścierpieć zwycięztwa czarnego murzyna, który posiadł piękną żonę, i objawiali zarówno jemu jak i Magdzie na każdym kroku niechęć. Długo zwalczali małżonkowie objawy gniewu ogólnego, aż kiedyś w przystępie rozżalenia poszli w lasy i przepadli bez wieści.

Stary Marcin Walczak, chorując ciągle, umarl ze zmartwienia i pozostawił sadybę swoją żonie i synowi.

Podczas pewnej pory deszczowej, po kilku latach tułaczki, powróciła Magda sama. Opowiadała matce i bratu, jak jej Benito pracował w pocie czoła na plantacyach i w fabrykach. Kochał ją bardzo, modlił się i pracował cierpliwie. Dobiłby się prawdopodobnie dobrego stanowiska dla niej i dla siebie, gdyż nikt mu w pracy i w cierpliwości nie mógł sprostać, gdyby nie wypadek nieszczęśliwy. Pewnego rana, pracując w fabryce cygar w Paranie pokłócił się z towarzyszami, Włochami z pochodzenia, i zginął z ręki jednego z nich od noża. Magda pochowawszy go na miejscowym cmentarzu, spodziewając się potomka, powróciła w strony rodzinne. Matka wybaczyła wszystkie smutki córce i przyjęła ją pod strzechę z otwartemi rękami. Magda zachorowała i wkrótce urodził się jej syn. Syn był podobny do ojca. Czarny z kędzierzawemi włosami, czarnemi jak heban, był silnie zbudowany. Choć niepodobnym był do dzieci osadników, dano mu na chrzcie świętym imię Bartłomieja i poczęto go nazywać po polsku „Bartek."

Wkrótce Magda wyszła powtórnie za mąż, za białego człowieka, który ją we wdowieństwie pokochał. Bartek, nie doznając krzywdy od ojczyma, chował się wraz z białemi dziećmi i chodził razem z niemi do szkółki, przy poblizkim kościółku.

Pieszczony, jako pierworodny przez matkę, kochał ją niezmiernie.

Kiedy nauczył się czytać po polsku, czytywał matce książki, przysyłane przez dobrych panów z za morza.

Matka opowiadała mu o dalekim kraju, z którego przybyła, o chatach braci za morzami. Bartek wlepiwszy w nią, jak w obraz, swe czarne oczy zapytywał wtedy:

— A czy w tym naszym kraju za morzami, matulu, ludzie są wszyscy biali, czy rosną tam takie kauczukowe drzewa, jak u nas?

— Czy rośnie tam fasola, takie same są ptaszki i zwierzęta?

I zdumiony słuchał dziwnych opowieści, jak w onym kraju dalekim przychodzi pora, kiedy woda twardnieje, kiedy słońce słabo grzeje, a białe płatki, jak papierki, lecą z nieba. Słuchał zadziwiony, jak zamiast drzew niebotycznych w puszczach wielkich, stoją tam w alejach wielkie murowane domy, a pola i lasy są niewielkie. Słuchał ze zdziwieniem o tym dziwnym kraju białych ludzi i w fantazyi swej widział różne obrazy. Z drugiego małżeństwa miała Magda dziewczynkę. Bartek pokochał ją całem sercem wielkiej braterskiej miłości i strzegł jak oka w głowie, od złych przygód. Chodzili razem do szkoły. Inne dzieci osadników przywykły do Bartka, bawiły się z nim chętnie, nazywając go „Czarnym Bartkiem," za co on się, przyznając słuszność, nie gniewał.

Władysław Karoli.

(Dokończenie nastąpi)

Nekrologia.

†

S. p. Kaźmierz Koszutski.

Dnia 1-go b. m. na cmentarzu św. marcińskim złożono zwłoki śp. Kaźmierza Koszutskiego, długoletniego redaktora „Ziemianina" i sekretarza Tow. rolnicz., a z nim znikła z pośród nas znowu jedna z tych postaci, które łączyły nas z dawną, minioną epoką.

S. p. Kazimierz urodził się w r. 1836 w Kaźmierzu pod Szamotułami w majątku dziada swego pułkownika Mlickiego i chował się pod okiem dziadostwa oraz rodziców Franciszka radzcy ziemstwa kredytowego i Michaliny z Mlickich. Do gimnazyum uczęszczał zmarły w Trzemesznie, następnie słuchał nauk przyrodniczych na uniwersytecie berlińskim, poczem udał się na szkołę rolniczą do Proszkowa. Rok 1863 oderwał go od pługa; śp. Kaźmierz wstąpił w szeregi powstańcze i mężnie wystawiał pierś na ogień bojowy pod Ignacewem w stopniu kapitana. Udział w powstaniu przypłacił więzieniem na fortecy poznańskiej, po-

czem osiadł na wsi w Królestwie Polskiem, lecz niebawem rząd rosyjski kazał go wydalić, ponieważ znaleziono w domu jego gazety poznańskie i jako gorliwy patryota był podejrzanym. Powróciwszy do Poznania począł pracować piórem, zrazu jako współpracownik a potem jako redaktor „Ziemianina.“ Na stanowisku tem wytrwał lat 35, aż do chwili zgonu, który wyrwał go nagle z grona rodziny.

Śp. Kazimierz dwukrotnie wchodził w związki małżeńskie: z Wincentyną hrabianką Bnińską a następnie z Otolią Karpińską, córką zaszczytnie znanego mecenasa ze Śremu. Z pierwszego małżeństwa miał syna Jana, który zeszedł z tego świata w kwiecie wieku, a z drugiego córeczkę Teresę, którą także kilka lat temu złożył na cmentarzu św. marcińskim. Srogie ciosy te osłodziła mu troskliwa żona.

Obowiązki swe pełnił zmarły z wielką punktualnością, umiejętnością i taktem a zalety serca okazał jako sekretarz Tow. ku wspieraniu urzędników gospodarczych, którym dał wiele dowodów życzliwości. Szczerze przywiązany do rodziny zachowywał węzły z wszystkimi krewnymi i był też w kole ich powszechnie kochanym i szanowanym. Do końca życia zachował żywy umysł, interesował się sprawami publicznemi i gorącem, polskiem sercem odczuwał niedolę narodu. Serdeczny żal towarzyszył mu też do grobu a liczny zastęp obywateli wiejskich i miejskich był wyrazem uczuć ogółu — uznania i przyjaźni.

Cześć jego pamięci!

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ”

na nowy kwartał,

***gdyż zaległe numery** jest zobowiązana każda poczta dostarczyć nowym przedpłacicielom na żądanie.*

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z **Poznania.**

W 26-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 14 wielkich arkuszy „Pracy“ — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie i franko.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę“, każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Nadzwyczajne piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (najnowsze wydanie).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

piękny obraz historyczny w kolorach, *oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10-cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Komu zależy na punktualnem regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Abonenci, otrzymujący „Pracę“ i „Czytelnią“ pod opaską, którzy dotychczas nie nadesłali przedpłaty na nowy kwartał i tego nie uczynią bezzwłocznie, już następnych numerów nie otrzymają.

Szanownych Czytelników

w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

1 kor. 99 hal.

Już największy czas zapisać

„Czytelnię Polską”

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk. czyli 1 koronę 23 hal.

Wiadomości.

— ***Trzechsetna rocznica.*** Dnia 15-go listopada r. b., w przeddzień 300-nej rocznicy urodzin Kordeckiego, na Jasnej Górze będzie odprawione, o godz. 11-ej przed południem, uroczyste nabożeństwo w kaplicy Matki Boskiej za wszystkich dobrodziejów klasztoru i miej-

csa świętego; nazajutrz zaś uroczyste nabożeństwo w wielkim kościele, z katafalkiem, za wszystkich zmarłych OO. Paulinów.

„Jak stwierdzają dokumenty klasztorne, zwłoki ks. Kordeckiego pochowane są pod kaplicą św. Antoniego. „Dzwonek częstochowski“ zachęca do gromadzenia pamiątek po Kordeckim. „Ktoby posiadał cokolwiek związanego z pamięcią Kordeckiego — pisze „Dzwonek“, zrobi najsłuszniej, gdy złoży to w klasztorze Jasnogórskim.“ Ks. przeor Rejman powziął podobno myśl założenia muzeum pamiątkowego im. Kordeckiego.

— **Rewizyę** przeciw wyrokowi gnieźnieńskiemu założyła prokuratorya oraz jedyny zasądzony w procesie, p. Stanisław Ziołecki.

— **Pan dr. Działowski**, lekarz specyalista w chorobach ocznych w Toruniu przy ulicy Zamkowej, ma połączenie telefoniczne nr. 353.

— **Polecamy** Szan. Czytelnikom pierniki z fabryki p. Markiewicza w Kostrzynie, jedynej polskiej fabryki na całe Prusy. Pierniki p. Markiewicza są znane ze swej znakomitej dobroci i przewyższają wyroby obcych fabryk. W niemieckich fabrykach zakazują robotnikom Polakom rozmawiać po polsku pod groźbą wydalenia. Wspierajmy zatem polskie przedsiębiorstwo naszego dzielnego rodaka!

— **Firma** S. Bendlewicz i Sp. w Pleszewie — fabryka zwierciadeł, ram, obrazów, krzyżyków i szkaplerzy, oraz hurtowny skład artykułów odpustowych i jarmarcznych — wydała świeżo katalog. Na ogłoszenie powyższej firmy zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

— **Procesy prasowe.** Proces przeciwko p. Wiktorowi Kulerskiemu o podburzanie do gwałtów toczyć się będzie przed grudziądzką izbą karną w dniu 17 b. m., w sam dzień św. Wiktora. Drugi proces o zohydzanie urządzeń państwowych rozpocznie się dnia 22-go b. m. i prawdopodobnie potrwa dni kilka.

Redaktora odpowiedzialnego „Postępu“ skazał poznański sąd ławniczy za rzekomą obrazę kupca Ehrenfrieda z Wrześni na 2 tygodnie więzienia, mimo zręcznej obrony p. mecenasa Chrzanowskiego.

W tej samej sprawie został zasądzony także redaktor „Wielkopolanina“ p. Szmyt, ale tylko na 60 marek, gdyż korespondencya była łagodniej napisana.

Polacy w Westfalii Według najnowszych obliczeń zamieszkuje w Westfalii 162,578 Polaków, między nimi 292 obcokrajowych. Podług wyznania jest 111,616 katolików, 50,789 protestantów (Mazurów) 168 baptystów i 5 Izraelitów.

— **Obowiązki** urzędników w dzielnicach polskich. Wiadomo, że niedawno dyrekcye kolei w Bydgoszczy i Królewcu przypomniały ponownie urzędnikom swoim, jakie są ich obowiązki w sprawowaniu swych urzędów na wschodzie monarchii pruskiej. Śladem tych dyrekcyi poszła teraz dyrekcya kolei żelaznych w Gdańsku, która swym urzędnikom przypomina w osobnym okólniku rozporządzenie ministerstwa z dnia 12 kwietnia 1898 roku, dotyczące odrębnych obowiązków urzędników w prowincyach z mięszaną pod względem języka ludnością. Mianowicie zaznacza dyrekcya gdańska w tym okólniku, że branie udziału w polskich przedsiębiorstwach ekonomicznych, jak n. p. w bankach ludowych, domach towarowych i t. p., nie zgadza się z obowiązkami urzędników.

Walka na polu ekonomicznem zaostrza się coraz bardziej.

— **Nowe** centrowe pismo polskie. Ks. dr. Stephan, redaktor centrowej „Gazety Katolickiej“ w Król. Hucie, zacznie od 1 listopada r. b. wydawać w Katowicach nowe pismo pod tytułem: „Katolicka Gazeta Ludowa.“

— **Ze Złoczowa** (w Galicyi) odebraliśmy następującą odezwę:

„Wielmożny Panie Redaktorze!

Powszechnie znaną jest straszliwa klęska, którą Opatrzność dotknęła nasze nieszczęśliwe miasto. Rozmiary jej nie dadzą się opisać, tem bardziej, że dotknęła ona najuboższą ludność, która obecnie w liczbie około 5000 głodna i nieodziana pod gołem niebem spędza zimne noce. To też Komitet ratunkowy zwraca się z gorącą prośbą do Wielmożnego Pana o łaskawe pomieszczenie w swym dzinniku odezwy do szlachetnych serc publiczności jako też o zajęcie się zbieraniem składek dla Złoczowskich pogorzelców.

Podpisany Komitet ratunkowy uprasza zarazem, aby Szanowna Redakcya zebrane kwoty ile możności jak najczęściej na koszt Komitetu i pod jego adresem zechciała łaskawie przesyłać.

Złoczów, dnia 20 września 1903.

Za Komitet ratunkowy:

Bolesław Studziński, c. k starosta, prezes. Wincenty Gnoiński, marszałek powiatowy. Stanisław Wesołowski, burmistr. Ks. Jan Stachów, dziekan. Dr. Józef Gold, zastępca burmistrza. Ks. Aleksander Czemeryński, dziekan. Dr. Ludwik Heyne, adw. kraj. członek magistratu. Marcin Chorzemski, c. k. radca Dworu, Dr. Aleksander Wysocki, lekarz, członek magistratu. Franciszek Irauth, członek magistratu. Karol Podgórski, członek magistratu. Edward Lewck, c. k. profesor gimnazyalny i sekretarz.“

Datki na cel powyższy chętnie przyjmować będziemy. Przyp. Redakcyi.

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. B. Strzyżewska z Bydgoszczy, St. R. z Chełmna po 1 m., Antonina Jacek z Dochanowa 6 m., M. Kasior z Binina p. Dobrojewo 3 m., pewna osoba z Jaroszewa, Józef Knitter z Fimtrop p. Essen, J. Nowak z Essen po 2 m., pewna osoba z Gogułkowa 5 m., W. Olszak z Małych Lasek 1, 50 m., M. Ziebarth z Krojanki 2 m.

„Bóg zapłać!“ Proszę uprzejmie o dalsze ofiary, mianowicie tych, którzy dobre żniwa mieli w tym roku. Bóg pamiętał o nich, niech i oni o Bogu pamiętają! Każdy ofiarodawca otrzyma piękny obrazek Matki Boskiej Żnińskiej i książeczkę z obszernym opisem Żnina.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *ks. Wincenty Studniarski*, od lat 40 proboszcz w Kicinie pod Poznaniem, dnia 29 z. m. w 71 roku życia.

† Ś. p. *Florentyna Zawadzka* w Krotoszynie, dnia 1-go b. m. Zwłoki złożono dnia 5 b. m. w grobie familijnym w Wyganowie.

† Ś. p. *Michalina z Wittów Stefenowa* dnia 3-go b. m. w Powidzu.

Od Redakcyi.

Staremu pedagogowi — „„Praca“ dochodzi w najdalsze zakątki naszego kraju.“ Tak Pan piszesz, więc należało się dlatego tak ważną sprawę nam nadesłać w *oryginale*, a nie w *przedruku*. Zresztą nie znamy nazwiska autora, więc też i z tego względu nie zamieścimy.

Panu L. J. w Wągrówcu. — Redakcya nasza, jak każda inna, nie zajmuje się pośrednictwem w wyszukiwaniu zatrudnienia itp. Udaj się Pan w tej sprawie do biura stręczeń.

Pani Z. Wr. w K. — Wierszyki nadesłane są ładne, ale powszechnie znane.

Panu F. S. w W. — Udzielenie żądanej informacyi przekracza naszą kompetencyą.

Panu I. D. S. w L. — Dziękujemy. Wiersz „Łabędzie“ zamieszczamy, drugi zamieścimy także.

Panu Władysławowi K. w Koźmine. — Nie możemy Panu dać w tej sprawie mimo najszczerszej chęci wyjaśnienia. Trzebaby przewertować cały herbarz Niesieckiego — 10 grubych tomów, a do takich zabawek czasu nie mamy.

Towarzystwu Młodzieży polsko-katolickiej w Jeżycach. — Notatka doszła nas już po wydrukowaniu numeru na dzień 4-go b. m., dlatego nie mogliśmy zamieścić.

Pani Jadwidze B. w Nyiregyhora (Węgry). — Z oferty korzystać nie możemy na razie, gdyż w tece naszej redakcyjnej mamy pełno oryginalnych i tłumaczonych nowelek.

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię“ na nowy kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką

Nadesłane.

Do dzisiejszego numeru dołączamy prospekt domu wysyłkowego „**L Steinhoff**“ **w Lubece**. Na prospekt ten zwracamy baczną uwagę naszym Czytelnikom, mianowicie paniom gospodyniom.

Dział kobiecy.




Ruch kobiecy w Niemczech.

Berliński dziennik „Local-Anzeiger“ rozpisał ankietę na pytanie: „Czy ruch kobiecy przyniósł kobiecie pożytek?“ Pierwszy pospieszył z odpowiedzią znany lekarz J. P. Moebius, autor dzieła o fizjologicznem upośledzeniu kobiety“, energiczny przeciwnik emancypacji kobiet. Moebius w krótkim liście do redakcyji wspomnianego dziennika wyraził się ujemnie o skutkach ruchu kobiecego, twierdząc, jakoby cały pożytek jego polegał na tem, że wreszcie świat przekona się, jak niepotrzebną jest tak zwana emancypacja kobiet. Drugą odpowiedź otrzymał „Local-Anzeiger“ od pani Minny Cauer, która w walce niemieckich kobiet o równouprawnienie zajmuje wybitne stanowisko. Wywody pani Cauer odnoszą się oczywiście do stosunków, panujących w państwie niemieckiem, posiadają atoli również ogólne znaczenie, jako bilans niemieckiego ruchu emancypacyjnego.

Pani Cauer stwierdza w swojej odpowiedzi przedewszystkiem ten fakt, że obecnie zerwano z zasadą: „kobieta należy do domu“. Liczebna przewaga kobiet wobec mężczyzn, zmniejszenie się związków małżeńskich, a przedewszystkiem zupełny przewrót w ekonomicznych stosunkach, oto przyczyny, które kobietę usunęły od ciągłego przebywania przy ognisku domowem. W sferach robotniczych kobieta musi na równi z mężczyzną zarabiać. „Niestety — mówi pani Cauer — z pracy jej korzysta w pierwszym rzędzie pracodawca, płacąc kobiecie mniej niż mężczyźnie, a następnie ci upadli mężowie, którzy często się nie troszczą o byt rodziny. Dla tych kobiet ruch emancypacyjny ma pierwszorzędne znaczenie, chcąc dla nich wywalczyć ochronę prawną, równość zarobku przy równości pracy. Dalej ruch kobiecy ma spowodować państwo i gminy do zakładania ochronek dla dzieci robotników, zawodowych szkół kucharskich i gospodarczych, żłobków i t. p. Dla kobiet, pracujących fizycznie w przemyśle, socjalna polityka ma dużo do zrobienia i ruch kobiecy pod tym względem nie powinien spoczywać.

Pomiędzy realnemi zdobyczami ruchu kobiecego wymienia pani Cauer na pierwszem miejscu zdobycie lepszego stanowiska dla kobiet wobec ustawy cywilnej. Obowiązujący od r. 1900 niemiecki kodeks cywilny zawiera ważny przepis, że kobieta może dla siebie zatrzymać i na swoją korzyść spożytkować to, co sama zarobi. Dalej może kobieta kontraktem małżeńskim zawarować całość i bezpieczeństwo swojego posagu i uzyskać prawo opiekuństwa, a więc honorowe prawo obywatelskie. Wreszcie kodeks niemiecki na miejsce władzy ojcowskiej postawił władzę rodzicielską, a więc ojcowską i macierzyńską, ale równocześnie stworzył tyle zastrzeżeń, że kobiecie z tej zdobyczy nie wiele pozostało. Ale bądź co bądź kobiety przecież wywalczyły na tem polu pewne ustępstwa.

Największe zwycięstwo odniosły kobiety w ustawodawstwie handlowem, które im przyznało zupełne równouprawnienie z mężczyznami. Na tem polu ruch kobiecy w Niemczech działał w dwóch kierunkach tworząc zawodowe szkoły, jako podstawę równouprawnienia, i wywierając wpływ na czynniki prawodawcze, ażeby temu równouprawnieniu dały sankcję ustawodawczą.

Pani Cauer twierdzi, że w Niemczech ruch kobiecy osiągnąłby o wiele większe rezultaty, gdyby wychowanie dziewcząt, z tak zwanych wyższych sfer i w domu i w szkole odpowiadało choć w części nowożytnym wymogom. Tutaj, zdaniem pani Cauer, musi nastąpić gruntowna zmiana, jeżeli ma powstać pokolenie kobiet, pojmujących obowiązki swoje. Mimo to i w sprawie kształcenia kobiet widać postęp w Niemczech. Dziewczęta mogą tam uczęszczać do szkól realnych i gimnazjalnych, a uniwersytety zaczynają po kolei otwierać dla nich swe bramy. Kobiety pracują tam jako lekarki i asystentki w klinikach i laboratorjach, a mężczyźni z całem uznaniem wyrażają się o ich pracy.

W służbie państwowej znalazły kobiety zajęcie przy pocztach, telefonach i kolejach, ale zajmują tylko podrzędne stanowisko. Czy się to zmieni na lepsze, trudno przewidzieć, ale w każdym razie i te skromne posady zapewniają tysiącom kobiet skromne ale pewne utrzymanie.

„Uwzględniwszy to wszystko — powiada pani Cauer na końcu swojego artykułu — korzyści i zdobycze ruchu kobiecego są widocznie dla każdego, kto ma uszy do słuchania i oczy do widzenia. Oczywiście nie należy ruchu kobiecego oceniać ze stanowiska filisterskiego, że wszystko powinno zostać po dawnemu. Na szczęście świat w swoim pochodzie nie pyta się o filistrów i nie pozwala powstrzymać swojego rozwoju . Mogą filistrzy działać hamująco, ale zastoju nigdy nie mogą sprowadzić, przeciwnie, im silniejsze jest usiłowanie, ażeby utrzymać dawny stan rzeczy, tem energiczniej trzeba myśleć o nowych drogach“.

Podróżniczki.

W Norwegii powstał nowy zwyczaj: młode panny wyprawiają się grupami na wędrówki po kraju, jak prawdziwe turystki — pieszo, z bagażem na plecach, i często po kilka dni bawią za domem, zwiedzając takie okolice, w których niema jeszcze komunikacyi pocztowej, ani tellegrafów. Spędziwszy czas pewien w górach i lasach Norwegii, zdala od ognisk oświaty, młode dziewczęta powracają do domu z zapasem nowych sił i zdrowia. Rodzice nigdy nie stawiają przeszkód swym córkom, puszczającym się na takie wycieczki, a społeczeństwo norweskie bardzo przychylnie patrzy na ten nowy objaw samodzielności kobiet.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

O nawożeniu roli wapnem.

Wapno należy do niezbędnie potrzebnych pokarmów roślinnych, gdyż wywołuje ono w ziemi rozkład wszelkich substancyi pożywczych, a przy umiejętnem zastosowaniu może rolnikowi niesłychane korzyści przynieść. To też racyonalne używanie wapna ma dla rolnictwa niezmierne doniosłości, a każdy rolnik z skutkiem działalności jak też z używaniem tego tak ważnego czynnika w rolnictwie zaznajomić się powinien.

Wapno, jak go w rolnictwie używamy, dostarcza nam palony kamień wapienny. Wapno palone lasuje się czyli gasi przez polanie wodą, rozpada się na suchy proszek i w takim stanie na polach bywa używane. Margiel napotykamy w mniejszych lub większych pokładach w nieznacznej głębokości w ziemi; działa on również skutecznie jak wapno, gdyż zawiera 10 do 50°/₀ i więcej węglanu wapiennego, a oprócz tego także nieco potażu i kwasu fosforowego. Mniej korzystny wpływ wywiera margiel z silną domieszką piasku i gliny. Wapnem zasilać należy rolę wtenczas tylko, jeżeli takowa go z natury mało posiada. Dla ziemi lekkiej i piaszczystej ma margiel wielką doniosłość, gdyż poprawia jej skład fizykalny przez dowóz gliny. Na cięższych gruntach bardziej się zaleca wapnienie niż marglowanie. Wapno i margiel nietylko poprawiają grunta, ale czynią role ciężkie kruchemi, na lekkich zaś gruntach powiększają siłę przytrzymania wilgoci, pobudzają oprócz tego siły spożywcze ziemi, jako to azot, kwas fosforowy i potaż do szybkiej działalności. Wapnowanie i marglowanie pól uskutecznia się zwykle w jesieni.

Mylnieby się jednak ten zapatrywał, któryby wyłącznie nawozów wapiennych używać chciał. Wapno chciwie się łączy ze wszelkiemi w ziemi znajdującemi się kwasami, budząc wszelkie substancye do szybkiej działalności. Jeżeliby zaś rolnik nie zasilał ziemię przez obornik azotem i kwasem fosforowym, w krótkim czasie by ją wyjałowił i ostatecznie do zupełnej nieurodzajności doprowadził.

Tak wapno jak i margiel wywozi się w jesieni na pole i składa się je w małe kupeczki, które zwolna wilgoć powietrza zlasuje. Kupki te okrywa się natychmiast ziemią, a powstające w nich pęknięcia winno się starannie zakrywać. Jeżeli się zaś wapno na jednę kupę tylko usypuje, natenczas trzeba je cokolwiek wodą polać, aby się cokolwiek zlasowało, potem ziemią obsypać a tworzące się szpary skrzętnie zasypywać, aby się woda deszczowa do wapna nie dostała. Po kilkunastu dniach rozrzuca się teraz już sproszkowane wapno przy suchem powietrzu po polu i natychmiast przyoruje.

W podobny sposób używa się z równie dobrym skutkiem margiel . Wywozi go się także w jesieni lub też zimową porą na rolę i pozostawia się w kupkach aż do wiosny. Margiel, który się w tym czasie także pod wpływem powietrza na proszek rozpadł, rozrzuca się w dzień pogodny na polu, używając przytem pilnie walca i brony, aby go możliwie rozdzielić, a wreszcie miałko go się przyoruje. Wapna używa się około 10 ctr. na morgę na grunta ciężkie, lub łąki kwaśne, na lekkie zaś role i łąki suche wystarczy 5—6 ctr. Marglu natomiast liczy się, przy średniem marglowaniu 60—90 ctr. na morgę.

Wapnienie powtarza się co 6 lat, marglowanie zaś skutkuje przez 8—10.

Rolnicy, mieszkający w pobliżu cukrowni, mają okazyę równie skutecznie używać w miejsce wapna i marglu, szlamu wapiennego, który obok 15—30°/₀ węglanu wapna także w małej ilości kwas fosforowy i azot zawiera. Szlam ten wywozi się zarówno na lekkie i mocne ziemie, na pole po 100 — 200 ctr. na morgę. Pozostawiwszy go w kupkach przez zimę, rozrzuca się na wiosnę i wyoruje.

W końcu nadmienić wypada, iż margiel często zawiera jako przymieszkę w pewnej części rudę siarczaną, która czasem tak ujemnie działa, iż nawet w pierwszym roku po ukończonem marglowaniu zupełny nieurodzaj spowodować może. Z tego też powodu zaleca się margiel w jakim zakładzie chemicznym (roln. stacye doświadczalne) co do jego zawartości dać zbadać.

ROZMAITOŚCI.

Oczyszczanie kurnika z pasożytów.

Weterynarz Lehman radzi, aby po wypędzeniu drobiu rano z kurnika, wszystkie szpary i otwory pozatykać pakułami, zapalić wióry z siarką i kurnik szczelnie zamknąć. Otwiera się kurnik dopiero po 12 godzinach, poczem można drób tego samego dnia wieczorem doń wpuścić. Jeżeli jest możliwem, trzymać drób przez tydzień w innem miejscu, to można oczyszczenie takie prowadzić gruntowniej; części z drzewa smaruje się za pomocą pędzla rozczynem kwasu karbolowego, podłogę, ściany, kojce, klatki i t. d. zaś zmywa się mlekiem wapiennem z dodatkiem jednej łyżki kreoliny na 1 litr. Najlepsze są cynkowe naczynia do karmu, pojenia oraz na gniazda; do gniazd dobrze jest sypać tabakę. W lecie powinno się kurniki w taki sposób czyścić co miesiąc.

Barometry roślinne.

Zestawiając różne przepowiednie pogody, kronikarz angielskiego pisma „Daily News" zwraca uwagę na barometry, istniejące w królestwie roślin. Przedewszystkiem kasztan, który przy pięknej pogodzie, choćby nawet niebo było pochmurne, rozpościera liście swe płasko jak dłoń ludzka z rozpostartymi palcami, opuszcza liście i ściąga palce przy nadchodzącym deszczu. Szkarłatny biedrzeniec oczekuje deszczu, mając kwiaty ściśle zamknięte. Przepowiada takim sposobem zmianę pogody na 6, 12, a nawet 24 godzin naprzód. Biedronek mleczny, ozdabiający łąki swemi okrągłemi kulkami, zachowuje swój kształt okrągły tylko wtedy, gdy pogoda jest pewna. Z chwilą zbliżającego się deszczu ściąga niteczki i tworzy maleńką miotełkę. Wszystkie rodzaje koniczyny składają swe listki i łodygi przy zbliżającym się deszczu.

Ochrona przeciw pęcznieniu drzewa. Rozpuszcza się w ćwierćlitrowej butelce benzyny parafinę, aż do jej nasycenia. Tym roztworem powleka się za pomocą pędzelka płaszczyzny drzewa nieochronione od wilgoci. Benzyna wsiąka prędko w drzewo i zabiera tyle parafiny ze sobą, że powierzchnia zewnętrzna drzewa staje się gładka i śliska. Nadaje się ten sposób do drzwi, okien i szuflad.

Dodatek Humorystyczny.

Kalosze.

(Ballada.)

Hrabia, który miał nazwisko,
Lecz w rozbracie był z gotówką,
Na odwagę wziął nareszcie
I ożenił się z żydówką.

Chociaż była ta *sądzona*
Jak pomiotło i potworek,
Hrabia zmógł się, tysiącami
Napełniony widząc worek.

Wszystko jeszcze jako tako
Było by się ułożyło,
Gdyby — gdyby nie teściowa,
Która była istną piłą.

Nie dość, że z jej towarzystwa
Miał sromotne udręczenie,
Na dobitkę kuta baba
Wciąż patrzała mu w kieszenie.

Nie upłynął jeszcze miesiąc,
Gdy już wstrętna ta niewiasta
Jęła sarkać: że pan hrabia
Nadto złotem żony szasta.

„Hrabia sobie z groszem rzuci
Tak jak z grochem albo plewą!
Hrabia nie zna z kredkiem w ręku,
Hrabia cały pan — z cholewą!

Hrabia wielkie ma fantazye!
Hrabia wróg jest mojej córki!
Ja dziś widzę, co wyprawe
Takie droższe jest od skórki!“

— Ależ, pani! hrabia rzecze:
Me wydatki — nie rabunki!
Skrupulatnie wszystko liczę
I na wszystko mam rachunki!

— „Chciała bym ja to oglądnąć!“
— Ależ owszem! chętnie służę!
Rzekłszy, hrabia okazuje
Listę, cyfr posłuszną furze.

I teściowa listę czyta
I pasuje się z liczb matnią —
I pozycyę każdą bada,
Aż natrafia na ostatnią.

Z przerażenia aż przysiadła:
— „Co?! *Kalosze — dwa tysiące!!*
Hrabia płaci za kalosze
Takie sumy druzgocące!

Dwa tysiące za kalosze!
Ja z posagu to potrącę!
To hrabiowskie drogie nogie!
Za kalosze — — dwa tysiące!“

A zięć na to dumnie rzecze,
Opowity dumy togą:
„Moja pani! Za kalosze
Dwa tysiące — to nie drogo!

To nie drogo — za kalosze
Dwa tysiące w tym bagienku,
Uwzględniwszy wszystko błoto,
W którem wdepnął — w tym o-
żenku!“

Facecye autentyczne.

Pisarz francuzki Crebillon, autor bardzo luźnych romansów, chełpił się razu pewnego wobec Rousseau'a, że nakładzca jego w ostatnim miesiącu już 4 wydania jego najnowszego romansu wyprzedał, podczas kiedy nakładzca „Nowej Heloizy“ Rousseau'a, w tym samym czasie, jeszcze nawet pierwszego nakładu się nie pozbył.

— Tak, odrzekł R. spokojnie, można przyjąć za pewnik, że rocznie sto tysięcy razy więcej żołędzi, jak ananasów się spożywa, ale — kto je zjada?

* * *

Pewnego dnia został ks. Beauvais, słynny swego czasu kaznodzieja, zawezwany z kazaniem do Wersalu przed króla Ludwika XV., w którem dość ostro przeciw luźnemu życiu pewnych kół towarzyskich wystąpił. Król, nie mając ochoty brać owych przycinków do siebie, zwrócił się do marszałka Richelieu i rzekł:

— Richelieu, zdaje mi się, że kaznodzieja silnie do Waszego ogrodu kamienie rzucał.

— Tak, sire, — odpowiedział marszałek, — a rzucał je z takim odmachem, że się aż w królewskim parku we Wersalu odbiły.

Wątpliwe interesa.

— Wiesz? kupcowi Iks tak dobrze poszły interesa, że zamierza w tych dniach bank otworzyć.

— Tak!... ale chyba — wytrychem!

Między przyjaciółkami.

— Powiem ci nowinę: Hela się zaręczyła.

— Z kim?

— Z artystą dramatycznym P.

— Nie pojmuję jak mogła zaręczyć się tak z pierwszym, lepszym.

— O przepraszam cię! narzeczony Heli nie jest ani pierwszym, ani lepszym...

Bajka.

„Jakąż wzgardę budzi we mnie
Każda słaba, chwiejna trzcina!
Chcę jak dąb być, co daremnie
Czoła wichrom nie ugina
Dała mi to już natura.“
— W ten sens robak głos zabiera,
W tem nadeszła jakaś kura
I połknęła bohatera!...

Dobrze zastosowane sentencye.

—Padły kości! — pomyślał Cezar — i pobiegł na podwórze ogryźć gnat najtłuściejszy.

— Byle naprzód... zawołał z zapałem handlarz wyrzucony przez stróża za bramę.

— Nareszcie zwróciłam uwagę na siebie! — bzyknęła mucha wpadłszy w oko człowiekowi.

— Nic mnie tak nie irytuje, jak ta udana czułość! — pomyślała z goryczą krajana cebula, widząc łzy w oczach kucharki.

— Ja myślałem, że to kasza, a to tylko dyamenty — ryknął z rozpaczą złotnik, dręczony głodem na pustyni, a przypatrzywszy się im bliżej odrzucił ze wzgardą worek i dodał: co za podła imitacya!

Bezczelność.

Szewc. Odesłałem panu buty pół roku temu, teraz się już podarły zupełnie, ale pieniędzy za nie jeszcze nie dostałem. Zapłać że mi pan nareszcie te 12 marek.

Jegomość. Co? za parę podartych butów mam panu zapłacić 12 marek? to bezczelność!

Dowód miłości.

— Nie uwierzysz, jak narzeczony cię ubóstwia. Cały dzień mówi o twoim posagu.

Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

16)

(Ciąg dalszy.)

Mężczyzna ten ubrany był w kurtkę futrzaną, wysokie buty i futrzaną czapkę. Na ramieniu zwieszała się flinta.

— Nikczemnik! — szepnął, schodząc ostrożnie ze skały, — jak łatwo byłbym go mógł zastrzelić. Ale śmierć taka byłaby zbawieniem dla niego! Niech żyje i cierpi i umiera zwolna! Nie zapomni on nigdy widoku umierającego w przepaści człowieka! I to będzie karą dla niego!

— Pomocy! Ratunku! — dał się słyszeć z dołu słaby głos Wolfa. — Zlitujcie się nademną!

— Czekaj, spieszę ci na pomoc! — zawołał Henryk, on to bowiem był świadkiem morderstwa, chociaż przyszedł w ostatniej dopiero chwili. — Zaraz tam będę!

I zaczął się spuszczać na dół — wybierając najniebezpieczniejszą, ale najkrótszą drogę.

Było to ciężkie zadanie — ściana prawie prostopadła mało dawała oparcia, można się było wyłącznie tylko na śniegu zesuwać, który padając w zawieji nie równo, małe tworzył stopnie.

Po kilku minutach przyczołgał się Henryk do Wolfa, który widząc nadchodzącą pomoc, zemdlał z radości i z przebytych cierpień, a mianowicie z utraty krwi.

Henryk uważał go za nieżywego.

— Umarł biedak w ostatniej chwili, — ale wyciągnę go jednak tu ztąd. Może ma jakie papiery przy sobie, z których się dowiem, kogo Bondi zamordował! I ja jestem rozbójnikiem i zabiłem już niejednego, ale nigdy jeszcze nie napadłem i nie zamordowałem bezbronnego w sposób tak podstępny!

I pochylając się, zaczął Wolfa odgrzebywać z śniegu.

Nagle jednak zadrżał i spojrzał z niedowierzaniem na bladą, brzydką twarz lichwiarza.

— To ty, mój przyjacielu Wolfie! — zawołał. — Mój dawniejszy lokaju, który mnie tak ładnie obierał z pieniędzy! Stary lichwiarzu i oszuście. Nareszcie jesteś w moich rękach! Pewnie chciwość sprowadziła cię tutaj i stała się powodem twej śmierci! Tak się to wszystko złe mści na świecie! Domyślam się też teraz całej tej sprawy! Bondi chciał się uwolnić od natrętnego wierzyciela! Szkoda, że nie słyszałem ich rozmowy. Jeden drugiego chciał oszukać!

W tejże chwili poruszył się Wolf.

— Ej, żyjesz jeszcze, — zawołał Henryk. — Oddychasz, rzeczywiście! Chociażbym miał wszelkie prawo zostawienia cię tutaj, to jednak na złość baronowi będę się starał zachować cię przy życiu! Na tym łotrze muszę się zemścić! I ty może dobrem do zemsty będziesz narzędziem! Pójdź przyjacielu, na plecach zaniosę cię do mego zamku! Nie myśleliśmy nigdy pewnie o tem, że ja cię poniosę do mego domu!

Cudem można prawie było nazwać to, że Henryk, obarczony takim ciężarem, zdołał wyjść z przepaści. I gdy szczęśliwie stanął na skale, gwizdnął przeciągle trzy razy, a las zaraz się ożywił.

Z jednej strony wyszedł z pomiędzy drzew Michał Kamczyk, z drugiej dwóch innych opryszków.

— Wójcie, — zawołał Henryk, składając nieprzytomnego na ziemię — zanieście tego człowieka do waszej chaty, opiekujcie się nim troskliwie, bo ja chcę, aby on żył i wyzdrowiał. Nie pytajcie go o nazwisko i nie powiadajcie mu, że ja wam go poleciłem. Gdy stosowna nadejdzie pora, przyjdę sam do niego. Bierzcie go i spieszcie się!

— Innych rozkazów nie ma kapitan dziś dla nas? — zapytał wójt.

— Nie! Dziś poluję sam dla własnej przyjemności i na własną rękę, a wybrałem sobie zwierzynę, jaka nieczęsto się tu zdarza. Jest to zwierzę gorsze niż tygrys, ale moja siła i moja flinta pokonają je przecież!

Po tych słowach skinął Henryk głową i znikł w gęstwinie lasu.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Ucieczka do kopalni.

Po dziwnej rozmowie z Fedorą udał się hrabia Dernburg do jej pokoju na dole.

Był on tak wzruszony, tyle nieznanych uczuć i wrażeń przepełniało jego duszę, że zdumiony pytał się mimowoli:

— Czy ja kocham tę dziewczynę, czy to miłość zbudziła się w mem sercu?

Nie, nie, on nie chciał tego, nie chciał się przyznać, że służącą pokochał! Że prosta dziewczyna zdobyła sobie dumne jego serce, o które niegdyś damy najwytworniejszego świata daremnie się ubiegały!

Ale on znał kobiety i unikał ich. Tu i owdzie podobała mu się jaka ładna blondynka lub bruneta, nigdy jednak nie pokochał tak, aby się żenić zapragnął. Nigdy nie czuł tego, co teraz w sercu jego wrzało.

Przechadzając się w pokoju Fedory, myślał z żalem nad swojem smutnem życiem, nad tylu straconemi latami młodości, myślał o Fedorze, o swem uczuciu dla niej, i znowu rozgniewał się sam na siebie.

— Nie kocham jej, — szepnął, marszcząc czoło, — oszalałbym chyba, gdybym miał się zakochać w mojej służącej! Jestem wzruszony jej wiernością, ale gdyby dziś dom mój opuściła, jużbym jutro o niej nie myślał! Nie znałem miłości i znać jej nie chcę, miałem i mam pod tym względem kamienne serce!

Potem zapalił papieros i usiadł przy oknie.

— Szczególniejsza myśl Fedory, — rzekł sobie w duszy, — aby żądać zamiany pokoi! Ona przypuszcza rzeczywiście, że Bondi czyha na moje życie. Gdybym tego samego był zdania, to nie zostawiałbym jej samej w moim pokoju, ale ponieważ wiem ,że ten podły tchórz śpi spokojnie w swoim pokoju, i że ani mnie ani Fedorze żadne z jego strony nie grozi niebezpieczeństwo, przeto zgodziłem się na jej śmieszne żądanie.

Hrabia siedział długo jeszcze zamyślony i zapatrzony w spadający śnieg.

W końcu uczuł się zmęczonym . Zrzucił więc szlafrok, i gasząc świecę, położył się na łóżko.

Cisza głęboka panowała w zamku, północ minęła już dawno, na dworze padał ciągle śnieg.

Nagle ukazał się jakiś cień przy oknie pokoju Fedory. Hrabia nie zasunął okiennicy i nie zamknął jej żelaznemi sztabami, potrzeba więc było lekkiego tylko nacisku, aby okno otworzyć i wejść do pokoju.

Ciche, ostrożne dotknięcie — nacisk na szybę, i okno otwiera się samo, niezamknięte wewnątrz. A teraz wsuwa się przez nie głowa i cała postać wysokiego, szczupłego mężczyzny.

Jeden skok i Bondi stoi na środku pokoju.

Przez chwilę nie rusza się z miejsca wstrzymując nawet oddech, ale potem prostuje się, i stara się przeniknąć ciemności. Księżyc zniknął za chmurami, w pokoju więc panuje ciemność prawdziwie egipska.

— Dziewczyna musi zniknąć, — myśli, — zaniosę ją do próżnej sztolni, nie daleko ztąd. Niech tam umrze z głodu, albo niech zwarjuje, mnie to obojętne. Potem wrócę i zabiorę się do stryja. Mój plan dobry. Więc najpierw ona!

Skradając się jak kot, wyjął z kieszeni knebel i dwa

mocne rzemienie, potem poszedł do okna, i wciągnął przez nie próżny, mocny miech. Wszystko to przygotował poprzednio, a miech znalazł w ogrodzie.

Potem położył się na ziemię i czołgał się po cichu ku łóżku.

Tak pełznie jadowita żmija, gdy chce ukąsić swoją ofiarę, tak się skrada hyena lub krokodyl.

Wszystkie instynkta dzikich zwierząt były złączone w tym człowieku, gorszym był on niż żmija, tygrys i hyena!

Teraz zbliżył się do łóżka i znów się zatrzymał w obawie, że Fedora zbudzić się może. Ale nie, obawa jego była daremną.

Trzeba było jak najprędzej skończyć z nią, czas naglił. Mogła już być trzecia, a zostawało mu jeszcze tyle roboty!

Więc dalej do dzieła.

— Czemu jej nie zamordował? Wszakże miał sztylet przy sobie i nabity pistolet także! O jednę zbrodnię mniej lub więcej nie chodziło mu przecież, ale ostrożny, jak zawsze, lękał się, aby Fedora nie krzyknęła i nie zbudziła hrabiego. I nadto pragnął zwalić winę na nią! Chciał ją tylko chwilowo usunąć i pogrzebać w kopalni, aby tam z głodu, pragnienia i strachu dostała pomieszania zmysłów. Ludzie, którzy ją tam znajdą, pomyślą, że ona w obłąkaniu zabiła swego pana. A chociażby i nie dostała pomieszania zmysłów, to podejrzenie popełnienia zbrodni padnie na nią. Niewinności swej udowodnić nie będzie mogła, i jego też nie oskarży, bo nie zna jego nazwiska!

Doskonały plan! Zamordować kogo, to nie sztuka, ale zwrócić podejrzenie na kogo innego, to nie każdy potrafi! —

Teraz podniósł się Bondi i rzucił się na hrabiego. Objął jego szyję i wepchnął mu knebel w usta, a stało się to tak prędko, że hrabia nie miał nawet czasu jęknąć lub o pomoc zawołać.

Poznał on zapóźno niestety, że Fedora miała słuszność — chciał się podnieść, bronić, ale Bondi trzymał go tak mocno, że nieszczęśliwy ani się ruszyć nie mógł.

Bondi tymczasem skrępował mu ręce i nogi i zarzucił mu miech na głowę. Potem ściągnął go aż po za nogi i związał mocno. Hrabia Dernburg był więc w miechu, tak jak onego czasu Bondi sam, gdy go Bilewski niósł do domu kata! —

Dernburg stał się ofiarą swego zaufania. Wiedział, że Bondi jest łotrem, ale nie przypuszczał, aby był mordercą, i to zaufanie stało się obecnie jego zgubą.

Był obecnie związany, skrępowany, dusił się pod naciskiem ostrej chustki, którą mu Bondi całą nieomal w usta wepchnął i nie mógł się absolutnie ruszyć.

Ale i Bondi zmęczył się tą robotą. Nie było to jednak tak łatwem ubezwładnić człowieka, i aż musiał spocone obetrzeć czoło. Wyrzutów sumienia nie czuł nędznik wcale.

Przeciwnie, cieszył się, że dotąd tak mu wszystko idzie gładko, i że niewygodnego świadka już się do połowy pozbył. Był on zawsze jeszcze święcie przekonany, że w miechu znajduje się Fedora.

Po kilku minutach odpoczynku zbliżył się Bondi do łóżka, schwycił miech i ściągnął go na ziemię. Hrabia mocno uderzył całem ciałem o posadzkę, a gwałtowny ból, jaki czuł w krzyżu, pozbawił go na chwilę prawie przytomności.

Przeczuwał on, że grozi mu straszne niebezpieczeństwo, ale nie wiedział, co go właściwie czeka. Przypuszczał, że Bondi napadł go dla tego, aby go zabić i dziwił się, że jeszcze dotąd tego nie uczynił.

Czuł, że Bondi podnosi go teraz, że wciąga go na plecy, i wychodzi z nim przez okno.

Ale dokąd!

Więc nie zabije go w zamku, tylko może w ogrodzie albo w lesie, czemu jednak zadawał sobie tyle z tem pracy, tego hrabia odgadnąć nie umiał.

Może go chce wrzucić do rzeki?

Hrabia zdrętwiał na myśl o tem. Chociaż był odważnym i nieraz śmierci zajrzał w oczy, to przecież być jak kamień wrzuconym do wody, mogło i najodważniejszego przerazić.

Znał on tak dobrze posiadłość swoją, że mógł obliczyć każdy krok mordercy. Wiedział, że teraz wychodzi z ogrodu i że znajduje się na drodze, wiodącej do kopalni.

Ach, czyżby go zamierzał strącić w przepaść bezdenną, w próżną sztolnię? Było to jeszcze okropniejszem, niż wrzucenie w rzekę. W każdym razie czekała go śmierć straszna — o tem był jaknajmocniej przekonany.

A Bondi szedł dalej i dalej i już ukazało mu się zdaleka ciemne wejście do kopalni, które wyglądało, jak szeroko otwarta paszcza jakiegoś potwora!

— — — — — — — — — —

Fedora, okropnemi miotana uczuciami, siedziała ciągle jeszcze przy stole i nie myślała o spaniu.

Przeczuwała ona, że Bondi z tajnemi przyjechał tu zamiarami, a chociaż żadnych jeszcze nie miała dowodów, to jednak postanowiła czuwać aż do rana.

Znała ona tego łotra i wiedziała, że tylko złych rzeczy można się od niego spodziewać!

Nazajutrz rano miał opuścić zamek, aby nigdy tu już nie wrócić, tak przynajmniej twierdził hrabia. Ach, jak szczęśliwą ona będzie, gdy słońce zabłyśnie na niebie i gdy ta noc się skończy!

Fedora siedziała, przymuszając się do czuwania, ale w końcu poznała, że uśnie jednak, jeżeli nie będzie chodzić i poruszać się trochę. Zdjęła więc trzewiki, aby Bondi, którego pokój był nad sypialnią hrabiego, nie słyszał, że tu ktoś chodzi.

Dla siebie nie lękała się Fedora niczego, wszystkie jej myśli, uczucia i obawy koncentrowały się na Dernburgu.

O niego drżała, i modliła się gorąco.

Jedna godzina mijała za drugą, zegar wskazywał trzecią, a w domu nic się nie ruszało. Fedora była pewną, że Bondi śpi, o jego wycieczkach bowiem żadnego nie miała pojęcia.

I już zaczynała myśleć że trwoga jej daremną była.

Oczy jej zapadały z zmęczenia, z trudnością zdołała jeszcze trzeźwić się trochę. Ale wierna swemu przyrzeczeniu nie chciała spać. I obejrzała się po pokoju, czy nie znajdzie jakiego zajęcia lub jakiej rozrywki, któraby sen oddaliła.

Otóż tam stała stara komoda, w wierzchniej szufladzie tkwił klucz. Fedora śpiąca, na wpół przytomna, zbliżyła się do komody i wyciągnęła szufladę.

Czy było grzechem spojrzeć na szkatułkę, którą hrabia zawsze starannie zamykał?

I drżącą ręką zaczęła przerzucać wszystko to, co się w niej znajdowało.

Były tam rozmaite obrazy, drobnostki haftowane pewnie rękami wytwornych dam, flakoniki wysadzane drogiemi kamieniami, sztylet włoski w złotej pochwie, i na samem dnie mały, srebrem okuty pistolet.

Fedora obejrzała go dokładniej i poznała, że był nabity...

— Może to zrządzenie Opatrzności, szepnęła — że właśnie mi ten pistolet wpadł w ręce! Nie włożę go napowrót, wezmę go raczej do siebie. Gdyby ten łotr odważył się jednak na popełnienie zbrodni, to ta zardzewiała kula wypełni jeszcze swoją powinność.

I wsunęła pistolet do kieszeni.

Potem przerzucała dalej zawartość szuflady.

Przy tej sposobności znalazła też pamiętnik hrabiego — wzięła go więc do stołu, na którym paliła się lampa i zaczęła czytać. Jakie piękne, głębokie myśli płynęły tam z pod pióra, uwydatniając szlachetny charakter hrabiego.

Ale teraz — Boże Wielki — wszakże to jej imię!

Ręce Fedory zadrżały. Jej imię!

Było tam kilka słów tylko, ale dla Fedory wystarczały one zupełnie. Cały świat szczęścia otwierał się dla niej, przyszłość stawała się jasną. Ach, jej przyszłość — czy ona mogła o niej marzyć?

Zaczęła więc czytać i pochłaniała oczami i duszą każdy wyraz.

„Fedora — dziwne to imię dla służącej, i dziwna to wogóle dziewczyna. Przybyła tu, jako uosobistniona Zagadka i zagadką dla mnie została, ale ja kocham tę zagadkę, chociaż nigdy jej może nie odgadnę. Ach, gdybym był młodszym, wtedy nie namyślałbym się ani chwili. Ale dziś, w moim wieku! Przed laty zapytałbym się wprost: Fedoro, chcesz być moją żoną?“

— Jego żoną! — szepnęła Fedora i łzy stanęły w jej oczach. — O Boże, jakie szczęście! Ale to być nie może!

I wrzuciwszy szybko książkę do komody, zamknęła ją na klucz.

— Nie, — pomyślała — tej zagadki nigdy on nie odgadnie! Nigdy nie dowie się, kto jestem! Zdawało mi się niegdyś, że kocham nad wszystko w świecie Henryka, ale to był szał — urojenie, a nie miłość prawdziwa, nie taka, jaką dziś czuję dla hrabiego. Pomimo to nie będę je-

go żoną! Dlaczego ja wogóle zostaję w jego domu ,czemu sprawiam sobie tę mękę! Widzę go codziennie, rozmawiam z nim, a nie mogę mu powiedzieć, że go kocham i kto jestem! Ach, nie mogłabym już żyć bez niego!

Nagle zerwała się Fedora i rzuciwszy się na ziemię, przyłożyła ucho do posadzki.

— Boże, co się tam dzieje! — jękła przerażona.

Na dole chodził ktoś, ale nie hrabia.

Hrabia stąpał wolno, równo, stąpania zaś na dole były prędkie i mocne. Musiał tam zatem być ktoś inny!

Gdy się Fedora teraz podniosła, była twarz jej bladą, jak śmierć, a oczy złowrogim płonęły blaskiem. Mimowoli sięgnęła do kieszeni i ujęła mocno rękojeść pistoletu.

Potem rzuciła się ku drzwiom i biorąc naraz po dwa lub trzy stopnie, zbiegła ze schodów, nie myśląc o niczem tylko o tem, że hrabia jest w niebezpieczeństwie.

— Dzikie zwierze przyszło i rzuciło się na swoją ofiarę!

— Nędznik wszedł zapewne oknem — szepnęła, — bo gdyby był szedł schodami, byłabym go słyszała! Ale czekaj, łotrze, nie darmo polowałam niegdyś na dzikie zwierzęta i na ludzi ,niestety, będziesz ty musiał walczyć ze mną!

Stanąwszy pod drzwiami pokoju, zatrzymała się, nadsłuchując — ale wszędzie panowała cisza.

Czy się omyliła poprzednio? Czy podrażniona fantazja łudziła ją?

Nie, bądź co bądź musi się przekonać ,czy się tam co stało, chociaż się narazi na gniew hrabiego.

I zapukała do drzwi, ale nikt jej nie odpowiedział.

Śmiertelny strach ogarnął jej serce. Zaczęła pukać coraz mocniej, poruszać klamką — lecz drzwi wewnątrz były zamknięte. Hrabia sam je zamknął.

Fedora drżała jak w gorączce.

— Panie hrabio! — wołała — otwórz pan hrabia, proszę! To ja Fedora! Panie hrabio! Na Boga, proszę o odpowiedź! Boże mój, ten nędznik Bondi zamordował go!

Rozpacz dodała jej sił, rzuciła się ciałem na drzwi i wyłamała je.

Z pistoletem w ręku weszła do pokoju, spojrzała na łóżko — puste!

Ale wytłuczona szyba i otwarte okno wskazywały drogę, którą morderca wyniósł swoją ofiarę.

Fedora krzyknęła przeraźliwie i zemdlona upadła na ziemię.

Zemdlenie to było nieszczęściem dla hrabiego i dla Fedory, chociaż nie długo trwało. Myśl, że musi ratować Dernburga, wróciła jej wnet przytomność!

Obejrzawszy się teraz po pokoju, domyśliła się przebiegu całej sprawy. Wiedziała, że morderca wszedł oknem, że zakneblował hrabiego, inaczej bowiem byłby się napadnięty bronił i krzyczał, i że go wyniósł przez okno, ale dokąd i w jakim celu, tego już wiedzieć nie mogła!

Bondi nie chciał pewnie zamordować stryja w jego domu. Zawlókł go więc do jakiego wąwozu lub na skałę, i ztamtąd straci go w bezdenną przepaść.

Ach, a ona nie mogła go ratować! Chyba, żeby go dogoniła.....

I ledwie myśl ta przyszła jej do głowy wykonała ją natychmiast. Nie chcąc zaś tracić drogocennego czasu otwieraniem drzwi siennych wyskoczyła także przez okno i biegła śladem stóp wyciśniętych na śniegu.

Przeszła ogród cały, przeskoczyła przez płot, i nie zważając na swoje bose nogi, bo pończochy zupełnie już były mokre, pędziła dalej i dalej. Ślady długich, wązkich butów mordercy zawsze jeszcze były wyraźne, a mocno wciśnięte korki były dowodem, że niósł na plecach jakiś ciężar!

Ach, ciężarem tym był ubezwładniony, bezbronny hrabia!

Co się musiało dziać w jego sercu, jeżeli jeszcze żył! Myśl, że jest opuszczony od wszystkich, i że znajduje się na łasce i niełasce tego nędznika, musiała okropną być dla niego męczarnią.

O, gdyby mogła mu dać znać, że ona spieszy mu na ratunek, że myśli nieustannie o nim!

I Fedora podwoiła biegu, pędziła na wyścigi z wichrem, a długie, czerwono złote włosy okrywały ją jak najkosztowniejszym płaszczem.

Nagle krzyknęła głośno! Tam, w odległości pięciuset mniej więcej kroków przed nią, ukazał się Bondi!

Księżyc świecił jasno, a bystre jej oczy dojrzały od razu ciężar na jego plecach. Domyśliła się też natychmiast, że to był Dernburg.

I szalona wściekłość ogarnęła ją na ten widok.

Bondi szedł dosyć prędko, Fedora jednak biegła, dotykając ledwie nogą ziemi. Z daleka można było sądzić, że leci na skrzydłach. Bondi jeszcze jej nie widział — na śniegu nie słychać było żadnego szelestu.

Teraz zbliżyła się na dwieście kroków.

Czy strzelić? Nie, na to nie mogła się odważyć. Odległość zbyt jednak była wielką, jak łatwo mogła chybić lub trafić hrabiego! Trzeba się jeszcze więcej zbliżyć!

I znów rozpoczęła się gonitwa. Bondi przyspieszał kroku, może przeczuwał instynktem niebezpieczeństwo. Ale i Fedora nie odpoczywała, wszakże chodziło tu o uratowanie ukochanego! Chętnie byłaby życie poświęciła, byleby go wydostać z rąk tego łotra!

Jak bardzo czułaby się szczęśliwą, gdyby mu powiedzieć mogła:

— Ocaliłam cię i dla tego umieram!

Teraz była w blizkości stu kroków od mordercy.

Bondi zwrócił się na drogę, wiodącą do próżnej sztolni, do owego okropnego otworu...

Czego on tam chciał? Wielki Boże, czy tam chciał zrzucić hrabiego w jedną z tysiącznych, bezdennych przepaści?

Zapewne, inaczej nie byłby go tam niósł. Teraz chodziło o życie i śmierć — jeżeli go wnet nie dogoni, będzie hrabia zgubiony bez ratunku!

Fedora odetchnęła głęboko i pędziła dalej.

Jeszcze tylko siedemdziesiąt kroków, mogła już wymierzyć — strzelić i zabić jak psa, bez uprzedzenia go!

Podniosła pistolet — w Warszawie na dworze ojca, była mistrzynią w strzelaniu do tarczy — ale tutaj, gdy chodziło o życie hrabiego, lękała się chybienia. Krew uderzyła jej do głowy, ręce drzeć zaczęły, i — spuściła pistolet.

— Nie mogę, — jękła, — nie mogę!

Bondi oddalił się tymczasem znacznie i teraz nie mogła się dłużej namyślać.

Po raz drugi podniosła broń, przycisnęła — ale strzał nie padł. Mechanizm starego pistoletu musiał być zardzewiały i wypowiadał posłuszeństwo.

Fedora próbowała jeszcze raz, wszystko jednak było daremne.

Wsunęła więc pistolet do kieszeni i w dalszą puściła się pogoń.

— Muszę zaufać sile moich rąk, — myślała z rozpaczą.

Ale Bondi spostrzegł ją teraz. Przez chwilę stał jak wryty, obrócił się i patrzał, jak gdyby swoim nie dowierzał oczom. Wszakże to była służąca jego stryja!

I nagle poznał swoją omyłkę — zamiast służącej, niósł związanego stryja. Cóż to jednak szkodziło? Tem lepiej nawet, sprawa ta zostanie prędzej i lepiej załatwioną. Hrabia umrze tą śmiercią, jaką miała umrzeć jego służąca.

Ale co potem?

Fedora oskarży go jutro o morderstwo. Chyba że —

Pomysłowy Bondi na wszystko miał radę.

W kopalniach, głęboko pod ziemią umrze dwoje ludzi. Wiedział on, że Fedora nie przestanie go ścigać i dlatego postanowił zwabić ją aż w podziemia. A tam skończy z nią prędko.....

Nie biegł teraz więc tak prędko, jak dotąd, tak że Fedora zbliżała się do niego coraz to więcej.

— Idzie mi prosto w sidła, — myślał zadowolony. — Pójdź, spiesz się! Śmierć czeka na ciebie!

W tej chwili właśnie zbliżył się do wejścia do kopalni. Wszystko było tu otwarte, z próżnej kopalni nie można było nic już wykradać, i tak mógł Bondi wejść bez przeszkody do wnętrza tej czeluści.

Czuł on, że siły jego są wyczerpane. Droga była dosyć daleką i uciążliwą, musiał zaś nieść hrabiego, i to go okropnie zmęczyło. Pomimo to poszedł jeszcze dalej, aż na galerję, czyli na most, zawieszony nad straszliwą przepaścią.

Kilka małych wózków o czterech kolach bez dyszla, tak zwane „psy“ stały na stronie. Górnicy używają tych wózków do wywożenia węgli z głębiny, i czasem zjeżdżają sami niemi, na szynach, położonych pod ziemią.

U belki u góry, zawieszoną była mała lampka, przy

której świetle mógł Bondi rozpoznać dokładnie miejsce, w którem się znajdował. Poręcz galeryi z zwyczajnego, nieociosanego była drzewa. A gdy spojrzał na dół, przestraszył się sam widokiem bezdennej głębiny, jaka się pod nim roztwierała.

Zobaczył tu wózki i narzędzia rozmaite, jakie górnicy pewnie tu zapomnieli, były tam latarki, rydle, i kilka tornistrów, w których górnicy zabierają żywność z sobą.

Bondi wrzucił hrabiego w jeden z drewnianych wózków, — ciężar ten byłby mu przeszkadzał w napadzie na służącą, która każdej chwili musiała się tu zjawić.

Wziął jednę z leżących motyk, w żelazo oprawnych, potem ukrył się za wózkiem, na którym leżał hrabia, i tak czekał na przybycie Fedory.

Nie potrzebował czekać długo!

Już usłyszał szelest zbliżających się kroków — już ujrzał silną i wysmukłą postać dziewczyny — i — Bondi z trudnością zdołał powstrzymać okrzyk zdumienia.

Wszakże to była Fedora, córka Wielkiego Księcia Konstantego.

Wiedział też teraz, gdzie i kiedy ją poznał i dla czego instynktem przeczuwał w niej niebezpiecznego wroga!

Ale zkąd stryj jego znał ją! Czemu ona u niego służyła!'

— Muszę ją zabić, bezwarunkowo, — syknął, — podwójne niebezpieczeństwo grozi mi z jej strony. Najpierw może mnie oskarżyć tutaj, a powtóre zdemaskować w Warszawie i stracę łaskę księcia .

Siedział więc cicho, chcąc się rzucić na nią dopiero z bliskości. Musiał postępować ostrożnie, znał bowiem od dawna niezwykłą siłę księżniczki.

W półcieniu, jaki tu panował, nie mogła go Fedora zaraz ujrzeć, nie widziała też, że miech, w którym leżał hrabia znajdował się na wózku.

— Gdzie on jest! — wyjąkała Fedora przyciskając ręką gwałtownie bijące serce, — gdzie jest ten łotr i jego nieszczęśliwa ofiara? Ach, przyszłam zapóźno, hrabia pewnie już nie żyje! Ale słuchaj Boże mój mej przysięgi! Zemszczę się okropnie na mordercy! Biada ci, baronie Bondi, ostatnia twoja godzina wybiła!

Ostatnie słowa wymówiła Fedora głośno i uroczyście, w następnej jednak chwili krzyknęła śmiertelnie przerażona i cofnęła się żywo.

Bondi wyskoczył z po za wózka, podniósł motykę i zanim Fedora słowo wymówić zdołała, spuścił straszną broń z całą siłą w kierunku głowy dziewczęcia.

Ale Fedora widziała to i zwróciła się na bok, unikając tym sposobem niechybnej śmierci. Motyka byłaby ej rozpłatała głowę od razu.

Bondi syknął z wściekłością i podniósł motykę po raz drugi, ale Fedora nie czekała, aż ją spuści.

Z dzikością tygrysicy rzuciła się na niego, schwyciła jego ramie i przeszkodziła mu w uderzeniu jej.

Okropna teraz rozpoczęła się walka na wązkim pomoście, zawieszonym nad przepaścią. Fedora i Bondi walczyli z ostatnim wysiłkiem o motykę, Fedora trzymała jego ręce, Bondi szarpał się, i tak, mimowoli, zbliżali się oboje coraz to więcej do drewnianej poręczy.

Fedora użyła ostatniego sposobu zwyciężenia przeciwnika. Dawniej, gdy w swej niepohamowanej nienawiści dla Polaków, odbywała na nich „polowania", widziała, jak jej sługa Iwan postępował z tymi, którzy się bronili. I uczyniła teraz tak samo.

Jedną ręką trzymała ramię barona, drugą zaś nagięła głowę jego tak mocno, że się ruszyć nie mógł. Takie silne nagięcie głowy na dół ubezwładnia człowieka zupełnie. Bondi rzucał się, chciał się wydobyć z pod jej dłoni, ale wszelkie usiłowania jego były daremne.

Fedora posiadała niezwykłą siłę, a rozpacz podwajała ją.

— Nędzniku, — krzyknęła, — ostatnia godzina twoja wybiła. Strącę cię w przepaść, niech się tam członki twoje rozmiażdżą.

I rzeczywiście, silnem pchnięciem rzuciła przeciwnika na poręcz. Głowa jego i połowa ciała zwieszała się już nad okropną przepaścią.

Bondi wypuścił z ręki motykę, która bez szelestu spadła na dół, tak tam było głęboko, ale ani Bondi ani Fedora nie zważali na to. Każda sekunda rozstrzygała tu o życiu ich lub śmierci.

Fedora objęła szyję nędznika i ścisnęła ją mocno, on natomiast trzymał ją wpół, i przycisnął do siebie, wiedząc, że tylko tym sposobem zdoła się ocalić. Jeżeli by on spadł w przepaść, to i ona z nim zginie.

— Umrzemy razem, — wyjąkał. — Puść mnie! Puść mnie!

— Umrę, — odrzekła Fedora ochrypłym głosem, — mniejsza o to! Ale pomszczę przynajmniej hrabiego. Umrzemy razem w tej strasznej przepaści!

Ciała ich opierały się z całą ciężkością o poręcz, która zaczęła się najpierw giąć...

Potem zaczęło drzewo trzeszczeć, łamać się — —

Włosy stanęły na głowie barona.

— Dalej na dół! — krzyknęła Fedora, jak w obłąkaniu.

Zdawało się, że żądza śmierci opanowała tę silną, odważną dziewczynę.

— Umrzemy razem, — wołała, — ja, księżniczka rosyjska, i ty nędzny szpiegu! To jedno mnie pociesza, że świat uwolnionym zostanie od takiego potwora!

Jeszcze jedno pchnięcie mocnej dziewczyny, i kawał poręczy złamał się i spadł na dół.

Bondi czuł, że drzewo gnie się pod jego ciężarem — jeszcze tylko minutę — pół — kilka sekund.

Z nieludzkim prawie krzykiem wyprostował się nędznik.

Udało mu się odepchnąć Fedorę i uwolnić z jej żelaznych rąk, ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem.

I teraz zdawało się, że Fedora jest zgubioną.

Czuła ona, że zaczyna słabnąć, uniesienie minęło, i członki wypowiadały jej posłuszeństwo.

— Niegodziwa dziewczyno, — krzyknął teraz Bondi — jeszcze mnie nie zwyciężyłaś, jeszcze nie możesz mnie oskarżyć o morderstwo! Zamknę ci usta na wieki, ale najpierw zabiję w twej obecności twojego kochanka!

I podniósł z ziemi inną siekierę i wściekłym uniesiony gniewem, rzucił się znowu na Fedorę.

Ale w tej samej chwili błysnęła jej myśl, że może się ratować ucieczką i wydrzeć mu równocześnie skrępowanego hrabiego, jego nieszczęśliwą ofiarę.

Szybko, jak błyskawica, wskoczyła na wózek, na którym leżał hrabia, odkręciła korbę, i koła zaczęły się poruszać.

Bondi stanął i patrzał zdumiony, ale zanim zdołał uderzyć Fedorę siekierą, już wózek zniknął w cieniach sztolni.

Wszystko to stało się w przeciągu kilku sekund.

Bondi to jedno wiedział, że tych dwoje ludzi, znajdujących się na wózku może go zgubić, i że dlatego muszą umrzeć.

Słyszał szelest pędzącego wózka w głębinę, coraz niżej i niżej.....

I pobiegł znów na galerję, przechylił się przez poręcz, wytężając wzrok w ciemności, ujrzał wózek na skręcie i Fedorę, która już ściągała miech z hrabiego!

A on stał tu bezczynnie i nie mógł ich zabić!

Szalał, wściekał się ze złości, uderzał nogami o poręcz, bo nie mógł na czem innem wywrzeć swej zapalczywości, nie mógł krzyczeć, nie miał słów na wyrażenie swego bezmiernego gniewu.

Szelest kół ustał tymczasem, uciekający dobiegli widocznie końca szychtu i byli bezpieczni. Uszli jego rąk, za kilka godzin wyjdą znów na ziemię i oskarżą mordercę. Wtedy czeka go więzienie i szafot!

Bondi zaczął ze złości płakać! Były to może pierwsze łzy w jego oczach, — łzy straszne, zbrodniarza! I rzuciwszy się na ziemię ryczał formalnie ze strachu i wściekłości.

Jak mądrze ułożył cały swój plan, jak dokładnie obliczył wszystko! Z początku wiodło mu się znakomicie, Wolfa pozbył się na zawsze, nie wątpił bowiem o tem ani na chwilę, że stary lichwiarz już nie żyje, stryja wsadził, jak kota w miech — i teraz nagle wszystko się zmieniło! Miliony usuwały się w daleką i bardzo niepewną przyszłość!

Jedyne co mu pozostawało, była ucieczka!

Trzeba mu było natychmiast wracać do zamku, kazać zaprzęgać i opuszczać tę okolicę jak tylko można najspieszniej.

Ale na co mu ucieczka się zdała! W Warszawie był tak samo niepewny życia jak tu, bo i tam mógł go stryj dosię-

gnąc swoją skargą. Gdzie spojrzał — czyhała na niego zguba, i na chwilę stracił zupełnie zimną krew i zwykłą sobie rozwagę.

Nie wiedział, czy wsiąść na drugi wózek i zjechać także w głębinę? Nie, to nie miałoby celu, hrabia i Fedora nie będą przecież czekać na niego. Oni z pewnością znajdują się już w jednej z ukrytych sztolni, a zresztą, chociażby ich spotkał, to walka stałaby się teraz bardzo dla niego niebezpieczną. Miałby zamiast jednego — dwóch przeciwników, hrabia już uwolniony z pęt, i Fedora — to dwoje pokonałoby go natychmiast!

— Nie pozostanie mi pewnie nic innego, — szepnął, — jak pożegnać dobrowolnie ten marny świat! Nudne życie — lepiej skończyć je od razu samemu, niż pod ręką kata!

I wyjąwszy pistolet z kieszeni, zaczął go oglądać na wszystkie strony.

Potem przyłożył go do skroni, ale cofnął szybko rękę.

— Piekielne uczucie, — pomyślał, — raz jednak trzeba się odważyć.....

I znów podniósł broń. Nagle —

Bondi krzyknął z radości i pistolet zniknął prędko w kieszeni.

Ostrożnie przechylił się przez poręcz, i z szatańskim uśmiechem patrzał na dół. Teraz ani Dernburg, ani Fedora nie będą świadczyć przeciwko niemu. On był ocalony, a stryj i księżniczka zgubieni!

Spiesznie opuścił kopalnią i poszedł do zamku, w którym teraz on sam wszechwładnym był panem!

ROZDZIAŁ XXXV

Zasypani.

Jeżeli górnik nazywa „psem“ mały drewniany wózek, którym się tak często posługuje, to nazwa ta nigdy nie była stósowniejszą jak teraz, gdy Fedora i hrabia zjeżdżali na takim wózku w głębinę.

Jak wierny pies, nie opuszcza swego pana, tak i ten wózek nie zawiódł tych, którzy mu się powierzyli. Z szybkością błyskawicy pędził po szynach, ale sunął się tak spokojnie i bezpiecznie, że Fedora poznała natychmiast, że nic im tu złego nie grozi.

Przedewszystkiem zabrała się do rozwiązania miecha i pęt, któremi hrabia był skrępowany. W chwili, w której zdjęła z niego miech, stanął wózek, a Fedora przekonała się, że są na dnie sztolni.

Gdzie to jednak było? W jakiej części kopalni?

Wokoło nich unosiły się strome, wysokie i czarne ściany. Jak głęboko pod ziemią się znajdowali, poznała Fedora z tego, że lampa, zawieszona u wejścia kopalni, wydawała się ztąd maleńką, jak łepek od szpilki, wiszący w ogromnej odległości. Na swoje otoczenie jednak, nie długo mogła patrzeć.

Całą uwagę musiała teraz zwrócić na hrabiego. Rozwiązała rzemienie, i dostrzegłszy knebel w ustach jego, wyciągnęła go ostrożnie. Hrabia był nieprzytomny.

Leżał z zamkniętemi oczami, blady, jak martwy.

— Boże wielki, on nie żyje! — krzyknęła Fedora, — nędznik ten zamordował go! A ja nie pomściłam jego śmierci! Ach, nie jestem godną jego miłości!

Po chwili jednak zauważyła ku swej najwyższej radości że hrabia oddycha lekko. Unio... więc głowę jego i oparła ją o swoje ramiona, podtrzymując tym sposobem cały ciężar bezwładnego ciała. Ale na to starczyły jej siły. Posunęła się nawet zupełnie ku ścianie, lękając się, aby Bondi nie strzelił z góry. Było to dosyć nieprawdopodobnem, ale wolała przecież unikać wszelkiego niebezpieczeństwa.

A gdy i miejsce pod ścianą nie wydało jej się dosyć pewnem, zaniosła hrabiego do ganku, który leżał przed nią. Ganek ten prowadził do sąsiedniej sztolni.

Ale teraz ujrzała tu tyle ganków łączących się z sobą i wiodących na różne strony, że absolutnie nie wiedziała, dokąd się udać o pomoc. W obawie, że Bondi ją goni, porwała znowu hrabiego i biegła na oślep, nie wiedząc dokąd, aż nareszcie, zupełnie już wyczerpana, musiała stanąć i odpocząć.

Znajdowała się teraz w okropnem jakiemś zagłębieniu, na trzech stronach zamkniętem, czwarta tylko miała wejście właśnie to, którem tu weszła.

Fedora położyła hrabiego na ziemi, i usiadłszy koło niego, zaczęła go budzić z zemdlenia.

Nie miała jednak nic, czem by go trzeźwić mogła, nie miała nawet ani kropli wody dla zwilżenia jego ust.

Zemdlenie Dernburga było głębokie i trwało długo, w końcu przecież otworzył oczy i zdumiony, spojrzał na swoje dziwne otoczenie.

— Kto tu jest przy mnie? — szepnął cicho.

Fedora pochyliła się nad nim, była jednak tak wzruszoną, że mówić nie mogła.

— To ty Fedoro? — zapytał znowu.

— To dobrze!

I oparł głowę mocniej o jej ramię.

Przez chwilę milczeli oboje, potem odezwał się hrabia:

— Ach, jakże czuję się szczęśliwym! Gdy otworzyłem oczy myślałem, że jestem już w grobie! Że mnie pochowano i że jeszcze raz ożyłem. Jak tu ciemno!

— Tak, — zawołała Fedora, — ale to nie ciemność grobu! Pan hrabia żyje — Bóg nie dozwolił, aby nędznik ten i niewdzięczny łotr zamordował pana hrabiego. Bóg ocalił nas oboje i wyprowadził nas ztąd szczęśliwie, na ziemię, pomiędzy uczciwych, szlachetnych ludzi!

— Ale gdzie jesteśmy teraz? — zapytał Dernburg.

— W kopalniach węgli!

— Jakim sposobem dostaliśmy się tutaj?

W kilku słowach opowiedziała Fedora wszystko, co się działo od chwili, w której poznała, że Bondi go napadł i wywlókł z zamku. Ale nie mówiła, jak nadludzkich sił musiała użyć, aby go tutaj ocalić. O walce swej z Bondim tylko kilku wspomniała słowami, nie chciała się bowiem chwalić swoją odwagą i siłą.

Ale Dernburg domyślił się wszystkiego, wiedział on, jak się ta piękna dziewczyna dla niego poświęciła! Zwolna podniósł głowę i wyciągając rękę, rzekł:

— *Uratowałaś mi życie, Fedoro, ja ci tego nigdy nie zapomnę, i wiem, w jaki sposób będę ci mógł okazać moją wdzięczność.* Ale chwilowe nasze położenie nie jest przyjemne! Będziemy tu zapewne musieli kilka godzin przepędzić. W tej ciemności nie możemy się odważyć na szukanie drogi, jeden niestósowny krok, a bylibyśmy zgubieni.

— Więc jakim sposobem wyjdziemy ztąd?

— Musimy zaczekać do rana, gdy górnicy zjadą do kopalni, aby rozpocząć robotę. Zadziwią się oni, gdy nas tu zobaczą!

— Jeżeli innej rady nie ma....

— Nie ma! Myślę też, że najlepiej będzie, zostać tutaj. Zagłębienie to wygląda zupełnie jak pokój. Patrz, jak prostemi i regularnie zbudowanemi są ściany, tam potrzeba tylko drzwi, tam okna, a salon gotowy. Ale ty drzysz, Fedoro, co ci jest? Zmęczenie opanowało cię, nieprawda?

— O nie, — szepnęła Fedora zmięszana, — mnie tylko — zimno. — Wychodząc z zamku nie miałam trzewików na nogach, a pończochy zmokły i ziębią mnie teraz...

— Więc zdejmuj je natychmiast i owiń nogi miechem, — rzekł, śmiejąc się. — chociaż na coś przydał się ten wór okropny. Ale jak mogłaś wyjść bez trzewików! Jak lekkomyślną jesteś moje dziecko!

Fedora uczyniła tak, jak jej kazał, i siedziała potem milcząca, z spuszczoną głową.

— Jesteś zmęczona? — zapytał Dernburg po chwili.

— O tak, — odrzekła otwarcie.

Ach, i jak była zmęczona! Ledwie rękami ruszać mogła, a kości wszystkie bolały ją tak, że byłaby płakać mogła. Kościste palce mordercy zbyt mocno dały jej się we znaki. Nogi ciężyły jej jak okropne ciężary, a oczy zamykały się same.

— Połóż się więc i śpij, jeżeli możesz, — rzekł Dernburg.

Fedora nie dała sobie tego dwa razy powiedzieć. Oddaliła się w przeciwległy kąt zagłębienia wyciągnęła z rozkoszą zmęczone, zbolałe członki.

Przez chwilę panowało głębokie milczenie, gdy nagle podniosła Fedora głowę i zawołała:

— Słyszę dziwny jakiś szmer! Co to znaczy, panie hrabio?

— To podziemne jezioro, znajdujące się w kopalni!

— Jakto, podziemne jezioro?

— Tak jest — dziwny kaprys natury, i z rozmaitych stron zjeżdżają się ludzie, aby je obejrzeć! Można nie

ziorze jeździć nawet czołnem, które zawsze tam jest gotowe do przewożenia zwiedzających.

— Czy to jezioro głębokie?

— Nikt jeszcze głębokości jego nie zmierzył. Zdaje się, że ono jest bezdenne!

— Jak pustem musi być takie jezioro! Nie żyją tam przecież żadne stworzenia!

— O, mylisz się! I w tej wodzie żyją ryby, ale one są ślepe!

— Czemu?

— Bo nigdy światła nie widziały!

— Chciałabym oglądać kiedy taką rybę!

— Zobaczysz ją. Zaraz w następnych dniach zejdziemy do kopalni, i wtedy pokażę ci wszystkie nadzwyczajności, jakie przyroda tam stworzyła. Ale teraz śpij, ja także usnę. Tu pod ziemią nie ma mordercy! Ci są tylko na ziemi!

— W takim razie wolałabym na zawsze pozostać tutaj, w ciemnościach podziemnych.

Zaledwie Fedora słowa te wymówiła, gdy przerażający huk rozległ się nad niemi. Hrabia z głośnym krzykiem przestrachu zerwał się z ziemi i stanął jak skamieniały.

— Co to jest? — zawołała Fedora, — czy Bondi strzelił?

Lecz ogłuszający łoskot powtórzył się po raz drugi i trzeci — ciemność zwiększyła się jeszcze i nagle hrabia i Fedora upadli jak gdyby niewidzialna jakaś siła popchnęła ich gwałtownie.

Pod nimi i nad nimi szumiało, kipiało, wrzało, trzeszczenie drzewa, łamanie belek — wszystko to mieszało się w straszliwym łoskocie — zdawało się, że mury pękną każdej chwili i przygniotą ich swym ciężarem.

Podziemne jezioro nie szumiało już cicho, tylko jęczało i wyło, jak rozhukane morze, Fedora nawet pewną była, że słyszy plusk wody tuż koło siebie.

Dernburg długo słowa wymówić nie mógł. Potem nareszcie, gdy szalony zamęt nieco się uspokoił, zawołał głośno:

— Fedoro, jesteś tu?

— Tak!

— Nie jesteś zranioną, nic ci się złego nie stało?

— Nie, co mi się miało stać? Pan hrabia dobrze się czuje?

— Dobrze! Wyciągnij ręce, abym wiedział gdzie jesteś!

— Zaraz! Ale czemu tu tak ciemno? Przed chwilą mogłam jeszcze rozpoznać twarz pana hrabiego, a teraz nie widzę nic zgoła. Co to znaczy?

— Zdaje mi się, że uszliśmy szczęśliwie strasznego niebezpieczeństwa! Musisz bowiem wiedzieć, że o mało co bylibyśmy zostali zabici! Słyszałaś ten huk okropny? Wiesz, co to było?

— Nie! Nie umiem sobie tego wcale wytłumaczyć!

— To była eksplozja — wybuch nagromadzonych gazów, i chociaż stało się to w innej części kopalni, to obawiam się bardzo, że i nam sprawi ów wybuch wiele przykrości. Podaj mi rękę, abyśmy się nie zgubili, bądź co bądź muszę się przekonać, jak rzeczy stoją.

Ręce ich znalazły się w ciemności, i teraz, wolno, ostrożnie, szli oboje ku wyjściu. Dernburg prowadził Fedorę.

— Przecież wyjście było tutaj, — zawołał Dernburg nagle. — Musiało być tu! Widziałem je — a teraz znaleść nie mogę! Wszędzie mur — gdzie dotknę ręką — mur!

— Panie hrabio, — zawołała Fedora, — ja mam w kieszeni krzesiwo.....

I w następnej chwili zabłysło małe światło w podziemnym pokoju.

Dernburg obejrzał raz jeszcze ściany, potem zgasił światło i rzekł krótko:

— Musimy umrzeć!

— Jakto? Czemu? — krzyknęła Fedora przerażona.

— Spadające węgle zasypały nasze zagłębienie. Jesteśmy żywcem pogrzebani! I dla mnie musisz umrzeć!

ROZDZIAŁ XXXVI.

Wilki tatrzańskie.

— Hanusiu, Hanusiu, pójdź moja droga, mam ci coś dobrego do powiedzenia!

Teresa wołała niecierpliwie na Hanusię, która siedząc w przyległym pokoju przy oknie, szyła białą koronkową suknią dla Teresy na dzisiejszy występ na scenę.

— Idę zaraz, — odpowiedziało dziewczę, — mam tylko jeszcze kilka ściegów....

Teresa wstała i zaczęła się przechadzać po saloniku. Czytała i powtarzała rolę, w której miała dziś wystąpić, ale potem odłożyła nuty i zamyśliła się głęboko.

— Muszę zakończyć smutek tej biednej dziewczyny — rzekła sobie w duszy, — muszę połączyć ją z ukochanym, za którym tak bardzo tęskni. Mam teraz do tego najlepszą sposobność! Zdaje się, że Hanusia dobry zrobiła wybór, listy jej narzeczonego są dowodem jego wielkiej miłości, dobroci i szlachetności serca. On kocha ją i oboje będą szczęśliwi! Ja zaś pozostanę znowu sama — sama z moją tęsknotą i rozpaczą! Ach Henryku, Henryku, czemu ty mnie zdradziłeś!

I łzy stanęły w pięknych, szafirowych oczach młodej dziewczyny.

— Otóż i jestem — rzekła Teresa serdecznie, i pogładziła czule jej ładną twarzyczkę. — Co ci jest? — dodała, — jesteś bladą dziś, i oczy od łez czerwone! Ale to może ostatnie łzy...

— Jakto? — zapytała Hanusia zdumiona.

— Mam takie przeczucie, że wkrótce będziesz szczęśliwą!

— Szczęśliwą? Ach wiesz przecież, Tereso, że ja tylko wtedy będę szczęśliwą, gdy Franciszek......

— Gdy zostaniesz jego żoną!

— Tak, ale o tem chwilowo nie ma mowy. Franciszek zadaje sobie tyle pracy i trudu, a pomimo to nie może schwytać niegodziwego dowódzcy opryszków tatrzańskich. Dopóki zaś to mu się nie uda, nie może myśleć o awansie!

— Więc ożeni się z tobą bez ujęcia opryszków, chociaż mu tego szczerze życzę, bo rozbójnicy powinni siedzieć w więzieniu i bez awansu. Nie rozumiem, dla czego macie czekać tak długo, aż dowodzca rozbójników będzie łaskaw dać się schwytać twemu Franciszkowi. I bez tego możecie być szczęśliwi!

— Ale my nie mamy żadnego majątku — szepnęła Hanusia.

— Nie potrzebujecie go też wcale! Franciszek twój ma przecież pensją — a ponieważ myślę, że umie się z pieniędzmi obchodzić, przeto dam mu pewną sumę, aby mu większe przynosiła procenta. Najlepiej, niech porzuci swój urząd i niech zostanie kupcem tutaj! Ja wam pomogę z całego serca!

— Ah, jakaś ty dobra, Tereso — zawołała Hanusia wzruszona głęboko słowami przyjaciółki. — Czy to jest możliwem, abym ja — zobaczyła Franciszka?

— Słuchaj — rzekła Teresa siadając na kanapie i pociągając Hanusię koło siebie, — zawarłam dziś kontrakt, na mocy którego jestem zobowiązaną do kilku występów w Węgrzech, w mniejszych i większych miastach. Zaczynam zaraz od granicy a kończę w Budapeszcie. Skoro staniemy na granicy, to łatwo do Szmeks dojechać możemy. Wszakże Franciszek jest w bliżkości Szmeksu?

— Tak ale on jest po drugiej stronie granicy węgierskiej, w Galicyi, na stacyi celnej w Tatrach!

— Więc pojedziemy tam, — zawołała Teresa stanowczo. — Ty będziesz mi towarzyszyć, a ja postaram się o to, abyś zobaczyła twego Franciszka, i potem uradzimy wszystko co do naszej przyszłości! Powiemy mu, aby się przeniósł do Wiednia, i pieniędzmi które mu pożyczę, rozpoczął jaki zawód kupiecki. Jestem przekonaną, że tak będzie najlepiej!

— O Tereso! — szepnęła Hanusia, obejmując serdecznie szyję przyjaciółki, — jakże mam ci podziękować za to, co czynisz dla mnie! Dałaś mi przytułek u siebie, a teraz chcesz mnie jeszcze połączyć z tym, którego kocham nad wszystko w świecie! Wdzięczność moja jest bez granic! Byłabym nędznem i podłem stworzeniem, gdybym za tę dobroć twoją nie miała ci odpłacić całem życiem mojem!

— Moja droga, ja nigdy nie liczę na wdzięczność! Chcę abyś była szczęśliwą, więcej nic! Przygotuj teraz wszystko do podróży, jutro rano wyjeżdżamy!

I tak się też stało. Hanusia dużo miała zajęcia, trzeba było pakować kufry z garderobą Teresy, a to samo wy-

musia była tak zajętą, inaczej byłaby rozum straciła z radości, że zobaczy za kilka dni narzeczonego!

Teresa cieszyła się jej szczęściem, a wszystkie dobrodziejstwa, jakie wyświadczyła dotąd Hanusi były dla niej sowicie wynagrodzone widokiem rozpromienionej twarzy dziewczęcia.

Nazajutrz rano zajechała ekstrapoczta i sławna śpiewaczka oraz towrzyszka jej w daleką puściły się podróż.

Po upływie dziesięciu dni były już na granicy galicyjsko-węgierskiej i tutaj zaczęła się Teresa rozpytywać, w jaki sposób najłatwiej dostać się do owej stacyi celnej.

— Inaczej tam pani nie dojedzie, — odpowiedział szynkarz, — jak sankami. W ostatnim czasie tyle napadało śniegu, że powozem przejechać nie można — jedynie możliwe są sanki, ale kto wie, czy konie przedostaną się przez śnieg!

— Spróbujemy! — rzekła Teresa. — Wystarajcie nam się o jakie sanie i dobrego woźnicę, który zna drogę!

Szynkarz wyszedł i wrócił po godzinie.

— No i cóż, — zapytała Teresa, — możemy jechać?

— O sanie wystarałem się, konie są też młode i silne, ale — —

— Jakież tam ale?

— Ale nikt nie chce jechać i narażać się na niebezpieczeństwo przy takiem powietrzu! Niech pani sama tylko wyjrzy oknem — jaka zawieja! A w górach o wiele gorzej jeszcze — pod śniegiem nie widać, czy droga, czy skała, czy przepaść.

— O, to brzmi bardzo niebezpiecznie — uśmiechnęła się Teresa, — ale nieprawda Hanusiu, my się tem odstraszyć nie damy.

— Nie radziłbym jednak.... — zauważył szynkarz.

— My jesteśmy odważne kobiety, — przerwała Teresa żywo — i nie lękamy się śniegu. Powiedzcie we wsi, że dam temu, kto nas zawiezie do stacji celnej, sto guldenów!

— Sto guldenów! Do licha! — zawołał szynkarz. — To ja miałbym sam ochotę zawiezienia pani! Taki pieniądz, no proszę! Mogę tu dużo sprzedawać wódki i wina, zanim zarobię sto guldenów.

— Więc jedźcie z nami!

— Rozmówię się z moją żoną! Pójdę zaraz...

Teresie podobała się bardzo otwarta i szczera twarz szynkarza i pragnęła mocno, aby przyjął pieniądze i jechał z niemi. W przyległym pokoju tymczasem rozpoczęła się żywa sprzeczka pomiędzy szynkarzem a jego żoną, a oboje rozmawiali tak głośno, że Teresa mimowoli każde słowo wyraźnie słyszeć mogła.

Szynkarka w żaden sposób nie chciała pozwolić mężowi na tę podróż.

— Masz troje dzieci — wołała, — czy nie myślisz wcale ani o nich ani o mnie? Tak mało znaczymy u ciebie, że chcesz lekkomyślnie narazić twoje życie na niebezpieczeństwo?

— Tak, ale — sto guldenów....

— A chociażby i tysiąc! I za dziesięć tysięcy nie dałabym mego życia. — Co się ma z nami stać? Gdy ciebie nie będzie, to chyba żebrać pójdziemy!

— Głupstwo, co mnie tam może spotkać złego? Konie dobre, drogę znam doskonale, w przepaść żadną nie wjadę!

— Ja się przepaści nie boję, ale nie myślisz o tem, że w Tatrach nikt teraz życia nie pewny? Czy nie grasują wszędzie owi straszni rozbójnicy, tak tu jak i na stronie węgierskiej? A te panie muszą być bogate, mają kosztowne futra i jedwabne suknie. Rozbójnicy zaś wiedzą zawsze, kiedy bogaci podróżni przejeżdżają tędy. Przytem zabijają zawsze najpierw woźnicę. Nie jedź, proszę cię!

— Masz słuszność, i ja nie chciałbym wpaść w ręce opryszków tatrzańskich — odrzekł szynkarz zamyślony. — Ale — sto guldenów — wiesz, że ani w dwóch miesiącach nie zarobię tego, chociaż pracuję od rana do nocy. Ach, ja jednak pojadę. Bóg mnie nie opuści!

— Jedź, jeżeli koniecznie tego chcesz, — szepnęła żona z ciężkiem westchnieniem, — ale nie rób mi zarzutów, jeżeli ci się w drodze co złego stanie. Weź przynajmniej broń — nabitą flintę i połóż ją w saniach!

— Naturalnie. Zobaczysz, że wrócę szczęśliwie z tej podróży i przyniosę tobie i dzieciom piękne podarunki. Za te sto guldenów damy nowy dach na karczmie, najwyższy czas z tem!

Zaraz potem wrócił szynkarz do pokoju i oświadczył Teresie, że pojedzie.

— Bardzo mnie to cieszy! — zawołała młoda dziewczyna, podając mu rękę. — Opryszków nie potrzebujemy się obawiać, sądzę, że ludzie przesadzają niebezpieczeństwo, chociaż w Wiedniu mówią dużo o ich dowódzcy. Po drodze musicie nam o nim opowiadać, wszystko, co wiecie!

Po sutem śniadaniu, podróż miała bowiem trwać sześć godzin bez popasu, zajechały wygodne sanie. Szynkarz zabrał jeszcze butelkę wódki i owsa dla koni, i wyruszono w drogę.

Sanie ładne były i nowe, kilka ciepłych der leżało w nich a konie młode i rosłe obiecywały podróż szybką i przyjemną.

Szynkarz ucałował żonę i dzieci, położył nabitą flintę obok siebie — trzasnął z bicza, sanie pomknęły lotem błyskawicy i znikły po chwili w ciemnym lesie.

Dzwonki wesoło dźwięczały, powietrze nie było zimne, a chociaż śnieg gęsto padał, to Teresa i Hanusia nie posiadały się z radości nad taką jazdą. W całej pełni rozkoszowały się nieznaną dotąd przyjemnością.

Konie pędziły, jak gdyby skrzydła miały, i wnet minęli wieś z której wyjechali, a przed nimi roztoczyła się teraz daleka równina, cała śniegiem pokryta. W dali widniały góry, przez które również przejeżdżać mieli.

Szynkarz powoził doskonale.

Trzymał mocno cugle a pozwalał koniom pędzić z całą szybkością. Bicza nie używał wcale .

— Musimy się spieszyć, — rzekł do Teresy, za którą siedział, — abyśmy przyjechali na miejsce przed wieczorem!

— Kiedy myślisz dojechać na cle?

— Wyjechaliśmy o dziewiątej, powinniśmy więc być tam około trzeciej.

Jak się nazywa wieś, w której jest stacya celna?

— Horka, chociaż powinna się zwać Dernburg. W Horce mieszkają sami nędzarze. Tuż obok tej wsi znajdują się ogromne posiadłości hrabiego Dernburga, który ma miliony i bardzo dobrym jest panem dla swych poddanych. O ile Horczanie są biedni, o tyle są podwładni hrabiego bogaci. Są tam cegielnie, kopalnie węgla...

— A do kogo należy Horka? — zapytała Teresa.

— Do hrabiego Henryka Orszańskiego!

Teresa krzyknęła głośno i o nic już nie pytała.

Hanusia milcząc uścisnęła serdecznie rękę.

Kilka godzin minęło i Teresa zwolna odzyskała znowu panowanie nad sobą.

— Opowiedźcie nam co o rozbójnikach tatrzańskich, — rzekła w końcu do szynkarza. — Słyszałam wiele o nich. Są oni rzeczywiście tak niebezpiecznymi?

—O tak, dowódzca jest niebezpiecznym, — odrzekł szynkarz, wiedzą o tem wszyscy ci, którzy w tej okolicy podróżują. Napada on jednak zawsze bogatych ludzi, biednym żadnej jeszcze dotąd nie wyrządził krzywdy.

— Jest to prawdziwy rozbójnik? Ma liczniejszą bandę? I gdzie mieszka, w jaskini jakiej?

— Ach, kto by to wiedział, — rozśmiał się szynkarz, — ten zarobiłby dużo pieniędzy! Bo rząd wyznaczył znaczną sumę — tysiąc guldenów — temu, kto schwyci jednego z opryszków albo samego dowódzcę! Nikt jednak jeszcze pieniędzy tych nie zarobił, i jestem nawet przekonany, że większa część górali nie chciałaby się zbogacić tym tysiącem guldenów.

— Pomimo ich biedy?

— Tak. Dowódzca opryszków nie zabiera nigdy biednym ani grosza więc go też biedni szanują i nie zdradziliby go za nic w świecie. Opowiadają też ludzie dużo o jego dobrem sercu, i tak naprzykład zdarzył się następujący wypadek: Otóż tam w górach mieszka pewna biedna wdowa, mająca jedynego syna. I tego wzięto do wojska. Nieszczęśliwa kobieta została sama, stara i chora, nie mogąc sobie zapracować na życie. Syn jej wiedział o tem, a że kochał matkę, przeto razu pewnego — uciekł od wojska i wrócił do matki. Ścigano go naturalnie jako dezertera, dniem i nocą przychodzili żandarmi do matki i wypytywali ją o syna, a biedna kobieta drżała już ze strachu na sam widok zielonej czapki. Ale pomimo wszelkich usiłowań nie znaleziono młodego chłopaka, bo mu dowódzca opryszków dopomógł w ucieczce do Ameryki. Powiadają, że przebrany za woźnicę, zawiózł go sam do następnej stacyi. Chłopak był ukryty w słomie i tak przewiózł go szczęśliwie przez granicę. A kilkunastu żandarmów pilnowało i domu i granicy. Matka żołnierza nie znosi już biedy, co

cztery tygodnie znajduje na progu chaty woreczek z pieniędzmi. Kładzie go tam dowódzca opryszków w nocy, gdy go nikt nie widzi.

— W takim razie nie musi to być zły człowiek, — zawołała Teresa. — Zajęcie się biedną wdową dowodzi szlachetnego serca.

— To prawda! Ale jeszcze szlachetniej postąpił sobie względem pewnego wieśniaka z Szmecksu, nazwiskiem Słomińskiego. Był to niegdyś zamożny gospodarz, ale gdy się zestarzał, oddał synowi całe gospodarstwo, a dla siebie i dla swej żony wymówił sobie tak zwany „chleb.“ Syn jednak nie był dla rodziców takim, jakim być powinien, a gdy się ożenił, rozpoczęło się w chacie prawdziwe piekło. Młoda gospodyni nie chciała rodzicom męża dać tego, co im się prawnie należało, gotowała im najgorsze potrawy, nie ogrzewała im w zimie pokoju i zmusiła ich w końcu do mieszkania w małej i ciemnej komorze. Stara Słomińska zachorowała wnet i umarła, a mąż jej, sam i opuszczony, wlókł się o kiju, o głodzie i chłodzie, w domu bowiem nie mógł wytrzymać. I gdy razu pewnego, siedząc nade drogą płakał i wyrzekał na smutny swój los, stanął nagle przed nim wysoki mężczyzna w czarnej masce na twarzy. Stary przestraszył się okropnie, ale nieznajomy rzekł mu, że nie potrzebuje się niczego lękać, i zaczął go wypytywać o powód jego smutku. Stary opowiedział mu wszystko, a gdy skończył, odprowadził go nieznajomy aż do lasu i rzekł:

— Idźcie spokojnie do domu, zaczną się teraz lepsze dla was czasy!

Tej samej nocy napadli rozbójnicy dom młodego Słomińskiego. Ani ojcu, ani synowi, nie zrobili nic złego, ale młodą gospodynią zbili tak, że przez kilka dni musiała w łóżku leżeć. A przy każdem uderzeniu wołał jakiś głos za nią:

— Czcij ojca i matkę twoją!

Nazajutrz stał przed domem Słomińskiego słup, którego tam dotąd nie było, a na nim karta z napisem:

„Kara za brak miłości i szacunku dla ojca i teścia! Szanujcie siwe włosy!

Stary Słomiński czuł się odtąd bardzo dobrze u swego syna, a synowa spełniała natychmiast wszystkie jego życzenia.

W taki to sposób dopomógł herszt rozbójników staremu, biednemu człowiekowi!

Sanie posuwały się teraz nieco wolniej, konie były już trochę zmęczone i szły teraz pod górę. Z obydwóch stron drogi wysokie wznosiły się skały. Ale i te znikały pod śniegiem i szynkarz ostrożnie musiał jechać, aby nie wpadnąć w przepaść.

Powietrze było tu znacznie zimniejsze i śnieg więcej zaczął znowu padać.

Teresa i Hanusia otuliły się mocniej futrami, tak, że im tylko oczy było widać.

Najwięcej na zimno wystawionym był szynkarz, bo musiał uważać na konie i na drogę i dlatego nie mógł się tak bardzo okrywać. Myślał on ciągle o rozbójnikach i oglądał się lękliwie na wszystkie strony, rychło ich nie ujrzy.

Czas mijał, znów godzina upłynęła, a stacya celna jeszcze się nie ukazywała. Nawet Horki nie było widać.

Góry stawały się coraz wyższe, dziksze, skały zasłaniały widok, a słońce zaczęło zachodzić za lasem.

Szynkarz spojrzał na zegarek.

Co u licha, wnet piąta, a on chciał około trzeciej stanąć na miejscu!

Widocznie zabłądził, z głównej ujechał drogi, i nie byłoby w tem nic dziwnego, bo śnieg bardzo myli.

O szóstej zupełnie już było ciemno.

Szynkarz zapalił latarnie u sanek, ale był strasznie niespokojny bo wiedział teraz z wszelką pewnością, że zabłądził i że prawdopodobnie będą musieli wszyscy przepędzić noc w lesie.

Raz po raz popijał trochę wódki, a nawet Teresa i Hanusia wypiły cokolwiek tego ostrego płynu, inaczej byłyby zmarzły po prostu.

— Na miłość Bozką, co się z nami stanie, — zawołała Teresa. — Jeżeli nie dojedziemy wnet do stacyi, to znajdą nas tu jutro wszystkich pomarzniętych.

I co robić w tem okropnem położeniu!

Szynkarz nic na to nie odpowiedział, Teresa miała słuszność, więc co mówić!

Na domiar złego powstał teraz jeszcze silny wiatr, zawieja śnieżna rozpoczęła się w najlepsze.

Zawieja w górach!

Jest to zupełnie co innego niż zawieja na równinie, jest to straszne niebezpieczeństwo, na które najodważniejsi się niechętnie narażają. A tu chodziło o dwie słabe kobiety w otwartych saniach. Bo chociaż okryte były futrami i derami, to jednak dotkliwe zimno przejmowało ich członki.

Szynkarz drżał także, ale więcej z strachu niż z zimna, chociaż skostniałe palce ledwie cugle utrzymać mogły. Był on zresztą o tyle rozsądnym, że nie mówił nic o niebezpieczeństwie, w jakiem się znajdowali.

Gdyby nie był zbłądził, to teraz byłoby już wszystko dobrze, byłby już zajechał do jakiej wsi, i tak obie panie jak i on siedzieliby w ciepłym pokoju przy dobrej kolacyi i szklance wina!

Tymczasem znajdowali się w dzikiej, niedostępnej części gór, gdzie nigdy jeszcze nie był i której absolutnie nie znał, zresztą śnieg leżał tak wysoko na skałach i drogach, że nie można było nigdzie dostrzedz jakiego znaku i kierować się podług niego.

Szczęściem, że żona jego włożyła mu w sanie torbę z chlebem i mięsem, dzięki tej troskliwości nie cierpieli przynajmniej podróżni głodu, najlepszą przysługę wyświadczała im jednak butelka z wódką. Wszystko troje popijało z niej — wódka rozgrzewała wewnątrz i ożywiała niezmiernie.

Szynkarz wiedział, że Horka leży na wschód, dla tego usiłował trzymać się ciągle w tym kierunku.

Jedynym jego drogoskazem były, jak zwykle u wieśniaków, gwiazdy.

Ale co innego kierować się niemi na równinie, gdzie w najgorszym razie jedzie się przez pola i łąki, a co innego w lesistych i skalistych górach, gdzie drzewa i skały nie pozwalają przejeżdżać tak, jakby się tego pragnęło.

Konie były też już zmęczone, że ledwo szły dalej — czasem upadały głęboko w śnieg i z trudnością wydobywały się na wierzch, wtedy stawały, aby wypocząć, i dopiero uderzone batem, wlokły się dalej.

Tymczasem godziny mijały. Teresa wyciągnęła zegarek i z przerażeniem ujrzała, że już po dziesiątej.

A nigdzie światła, nigdzie mieszkania ludzkiego, żadnego głosu — tylko świst wiatru i śnieg — śnieg —

Teraz rozszerzyła się nieco droga i podróżni wjechali do ogromnego lasu. Olbrzymie drzewa osłaniały ich nieco przed wiatrem i droga była tu równiejsza.

— Gdybyśmy chociaż jaką jaskinię znaleźli, — zawołała Teresa, — wolałabym już w niej noc przepędzić, niż jechać dalej, nie wiedząc dokąd. Przyznajcie się mój przyjacielu, że sami nie wiecie, gdzie jesteśmy!

— Nie zapieram się tego, — odrzekł szynkarz drżącym głosem, — ale w tej zawieji byłby każdy zabłądził. Zgubiłem drogę i nie mam pojęcia, w jakiej części Tatr znajdujemy się obecnie.

— O Boże! — zawołała Teresa, — to okropne! Może nie przeżyjemy tej nocy! Biedna Hanusia!

I przytuliła serdecznie młodą dziewczynę do siebie.

— Czemu mnie żałujesz, — szepnęła Hanusia, — czemu nie myślisz o sobie? W tobie straciłby świat wielką artystkę, twoje życie nie należy tobie samej, tylko sztuce! A ja? Kto mnie będzie żałował? Jeden chyba tylko Franciszek!

— Ale ty masz kogoś, kto cię wiernie kocha, — rzekła Teresa, a gorące łzy spłynęły z jej pięknych oczu, — i kto po tobie płakać będzie! Mnie będą ludzie żałować, to prawda, ale nikt łzy nie uroni na moim grobie!

Potem umilkły obie i znów zapanowała cisza. Konie szły dalej z najwyższem natężeniem sił, a szynkarz modlił się po cichu.

Zimno wzmagało się z każdą prawie chwilą, butelka była już próżną, i położenie nieszczęśliwych stawało się coraz to niebezpieczniejszem.

— Jestem strasznie zmęczoną, — odezwała się nagle Hanusia, — tak mi się chce spać.....

— Na Boga, — krzyknęła Teresa, — nie usypiaj! Nie obudziłabyś się więcej, sen jest śmiercią w takiem zimnie. Nie śpij Hanusiu, nie śpij!

— Tylko nie spać, — potwierdził szynkarz. — Musimy mieć oczy otwarte — kto je w takiej nocy zamknie, to już na wieki!

Ciąg dalszy nastąpi.